

Prenumerata w Warszawie:

Rocznie . . . Rs. 7 kop. —
 Półrocznie . . . " 3 " 50
 Kwartalnie . . . " 1 " 75
 Miesięcznie . . . " — " 60

Za zmianę adresu dopłaca
 się kop. 20.

Cena pojedynczego nume-
 ru bez dodatku kop. 20.

Prenumerata na Prowincyi
i w Cesarstwie:

Rocznie . . . Rs. 9 kop. —
 Półrocznie . . . " 4 " 50
 Kwartalnie . . . " 2 " 25

Za Granicą:

Rocznie . . . 12 guld. — 18 m.
 Półrocznie . . . 6 " 9 "

Ogłoszenia przyjmuje księ-
 garnia T. Paprockiego i S-ki
 pokop. 10 za wiersz petitowy
 lub za jego miejsce. Rekla-
 my po kop. 25.

GŁOS

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNO-POLITYCZNY.

Wychodzi co Sobota.

REDAKCJA: Nowy - Świat Nr. 21 m. 20.

Ekspedycja główna: Nowy - Świat Nr. 41,
 w księgarni Teodora Paprockiego i S-ki.

Co kwartał dodaje się bezpłatnie
 jeden zeszyt dzieł naukowych.

TREŚĆ: W sprawie serwitutów, przez Sama.
 Początki narodowości, J. K. Potockiego.
 Literatura dla panien, przez J. L. Popławskiego.
 W kraju Uranii, przez Bolesława Wyganowskiego.
 Bez obłudy, przez Maryjana Bohusza.
 Głosy: Nieurodzaj. — Mieszkania warszawskie. — Za-
 myśli p. Chorążego — Żydzi i piekarze. — Sztuczki Kraju.
 Z kraju, przez J. Nieborskiego.
 Korespondencyja: Ze Lwowa przez X. X.
 Przegląd społeczny: Sosnowice, Łódź, Łomża, Radom,
 Piotrków, Płock, Kalisz, Końskie, Wilno, Petersburg, Kra-
 ków, Poznań.
 Przegląd polityczny.
 Kronika powszechna.
 Kronika literacka.
 Odpowiedzi od redakcyi.
 Ogłoszenia.
 Odcirek: Guy de Maupassant, Studium Brandessa. dok.
 W dodatku: Trucizna, powieść Aleksandra Kiellanda. Tłó-
 maczyła O. P. Arkuszy 5-ty i 6-ty.

Od Redakcyi.

Powołując się na umieszczony w zeszłym numerze *Głosu* prospekt, zwracamy się do czytelników naszych z prośbą o poparcie pisma przez rozszerzenie wiadomości o niem i zjednywanie mu nowych prenumeratorów, od czego dalszy rozwój naszego wydawnictwa zależy.

Oprócz 12 stronicowych numerów tygodniowych prenumeratorowie nasi otrzymają w ciągu roku szereg **tlómaczonych powieści lub utworów popularno-naukowych** (52 arkusze druku) oraz szereg **dzieł naukowych** (28 arkuszy druku). Dział pierwszy rozpoczniemy wydaniem **Fortuny** Kiellanda, która, jakkolwiek stanowi całość oddzielną, jest jednakże niejako dalszym ciągiem wychodzącej obecnie **Trucizny**. W dziale drugim mamy na początek **Filozofiję Schopenhauera** *Ribota*.

W sprawie serwitutów.

Kwestyja serwitutów, nie przestająca trapić ziemianstwa gubernij zachodnich, w blizkiej przyszłości ma być rozstrzygniętą przez specjalną komisję, której prace, jak mówią, od początku roku bieżącego posunęły się już dość daleko.

Pierwszem zadaniem komisji jest ściśle obrachowanie ogólnej ilości i wartości serwitutów, aby następnie możebnem było racjonalne i najbardziej sprawiedliwe uregulowanie tego stosunku, tak nieprzyjemnego i nieraz szkodliwego dla gospodarki obu stron zainteresowanych. Obecnie,

gdy sprawa stoi na porządku dziennym, wielbiciele większych posiadaczy, wiernie służąc swym pa-
 nom, gorąco występują w obronie ich interesów. Jeden np. z takich żarliwych adwokatów p. B. K. z „Kraju“ petersburskiego, po faryzeuszowsku uprzedzając o swej bezinteresowności, stara się dowiesić za pomocą sofizmów prawnych, że *nie-
 słuszne* uroszczenia włościan względem serwitutów dążą do pogwałcenia odwiecznych *praw* obywateli ziemskich, albowiem przy uwłaszczeniu włościan, jako też w wielu następnych aktach prawodawczych i sądowniczych, kwestyja ta była albo pomijana, albo rozstrzyganą na korzyść obywateli. Ciekawe rozumowanie! Interesy włościan dotychczas były mało uwzględniane, a więc tak powinno być nadal i obywatele przez to nabyli jakieś prawo. Już ten fakt, że wspólność pastwisk istniała jeszcze przed uwłaszczeniem, na mocy inwentarzy, powinienby być dostatecznym dowodem na na korzyść prawa włościan. Jednak takie twierdzenie niepodoba się p. B. K., mówi on, że w ten sposób można dowodzić nawet legalności gwałtów komunistycznych. Ależ jego dowodzenie, czyż nie jest dowodzeniem legalności innego rodzaju gwałtów obywatelskich, tylko mniej dawnych? Prawda, że dotychczas mało uwzględniano prawa włościan do pastwiska, robiły to tylko gdzieniegdzie władze miejscowe, którym widoczniejsze były miejscowe warunki, lecz w danej chwili nie nie przeszkadza poprawić omyłkę przeszłości. Oywatele przed uwłaszczeniem posiadali na własność ziemię, pastwiska i poddanych. Ci ostatni otrzymali wolność osobistą i ziemię drogą wykupu, czemuż w ten sam sposób nie mają otrzymać i pastwisk, tak koniecznych dla ich istnienia? Samo uwłaszczenie było w pewnem znaczeniu pogwałceniem praw własności, ale pogwałceniem w imię sprawiedliwości i w imię potrzeb ekonomicznych gospodarki krajowej. Należy tylko żałować, że o pastwiskach prawie zupełnie zapomniano. Włościanie otrzymali ziemię, ale w większej ilości wypadków (pozbawieni zostali możności wyrabiania jej i nawożenia, nie uciekając się do łaski pańskiej. Brakowało im własnych pastwisk, koniecznych dla utrzymania dostatecznej w gospodarce ilości bydła. Omyłka ta po części powtarzała się w czasach późniejszych, po części omijano ją milczeniem, odkładając załatwienie kwestyi ad meliora tempora. W guberniach wielkoruskich sprawa serwitutów prawie nie istnieje, gdzieniegdzie tylko pastwiska pozostały wspólne na mocy dawniejszych jeszcze umów, zawartych między gminą i obywatelem. Z tego być może powodu widzimy tam dosyć znaczną ilość proletaryjatu wiejskiego, tak zwanych, „beźłozadnych“, którzy nie mają wcale inwentarza roboczego.

W guberniach zachodnich, kwestyja serwitutowa nie została. na szczęście, dotychczas załatwioną w sposób tak rujnujący dla gospodarki włościańskiej. Teraz właśnie po wyjaśnieniu sprawy jest możność rozstrzygnięcia ją inaczej, niż była rozstrzygniętą gdzieindziej. Wymaga tego nagląca konieczność, ponieważ nasi ziemianie drogą ugody z włościanami nie przestają oczyszczać swych majątków z krępujących je powinności i operacje takowe nie zawsze wychodzą na dobre gospodarce chłopskiej. W ostatnich czasach naj-

najbardziej rozpowszechnił się sposób odprzedawczy włościanom gruntów spornych za pośrednictwem Banku włościańskiego. Ponieważ bank według prawa nie może wydawać pożyczek na kupno ziemi, obciążonej serwitutami, by uniknąć możebnych w przyszłości nieporozumień, więc wymaga aby wspólne pastwiska kupowane były tylko przez włościan zainteresowanych, przyczem ci ostatni formalnie zrzekają się wszelkich uroszczeń serwitutowych. Sposób taki może być dogodnym dla obywateli ziemskich, pozwalając im z małą stratą i bez kontroli uwalniać swe majątki od ciężących na nich służebności, lecz nie jest zagwarantowany od nieprawidłowej oceny wartości serwitutów i łącznie z innymi projektowanymi sposobami, zawiera w sobie pierwiastek zakłócenia i równowagi ekonomicznej stosunków wiejskich. Naprzód trudno jest bardzo określić wartość serwitutu dla włościan; zależną jest ona od stosunku włościańskiej ziemi ornej do pastwiskowej, od jakości pierwszej, potrzebującej mniejszego, lub większego nawożenia, a więc mniejszej lub większej ilości bydła; od jakości ziemi serwitutowej; nakoniec od tego, czy serwitut jest stały, lub przerywany, ograniczony, lub nieograniczony. Każda miejscowość posiada w tym względzie odrębną cechy i dlatego regulacyja serwitutów wymaga wielkiej ostrożności i znajomości rzeczy. Ztąd też głównie wynika ta różnorodność projektów, podawanych przez obywateli, co do sposobu kompensaty za serwitut — proporcjonalnie do udziałów gruntowych (lub ilości bydła, pieniądźmi lub ziemią; a także rozmaite wyroki sądowych wydawanych zwykle przez niższe instancyje na korzyść włościan, przez wyższe na korzyść obywateli ziemskich.

Wszystkich pomienionych warunków bank nie przyjmuje pod uwagę. Grunt ocenia według normy, przyjętej w danej miejscowości, często nawet drożej. Wynika ztąd, że włościanin kupując ziemię, częstą wartość użytkową dość wysoką, płaci za tę swoją własność, bynajmniej nie w odwrotnym stosunku do jej wielkości, lecz proporcjonalnie do wartości serwitutu dla chłopa. Przypuszcemy nawet, że obywatel ziemski robi pewne ustępstwo i sprzedaje ziemię taniej, niż wynosi norma, mała niżka i pomoc banku są już dostateczną zachętą dla chłopa do kupna i do wyrzeczenia się wszelkich swych praw do pastwisk, tym bardziej, gdy prawa te są zamaskowane i nie wchodzi w rachubę. Jak widzimy więc, jest to wprawdzie załatwienie kwestyi serwitutowej, lecz załatwienie takie, z którego wilk wychodzi syty, a koza oskubana. Racjonalne rozstrzygnięcie kwestyi ma do zwalczania mnóstwo zawiloci i nie dziwnego, że komisya przy ministeryjum spraw wewnętrznych zanim wyda stanowczą decyzję, poleci gubernatorom zwołać miejscowe komitety dla ustanowienia normy wynagrodzenia włościan za stracone korzyści. Szkoda tylko, że do składanych komitetów wchodzi wyłącznie przedstawiciele jeanej strony zainteresowanej t. j. obywatelstwa ziemskiego.

Najszersem uznaniem cieszy się zasada odškodowania włościan za tracone użytki w stosunku do ilości ziemi, jaką oni posiadają obecnie. Zasada, ta jest bodaj że najbardziej racjonalną jeżeli tyl-

ko wielkość stosunku określoną będzie według potrzeb gospodarczych. Wszystkie wreszcie praktykowane i projektowane sposoby odszkodowania mają jedną wspólną słabą stronę, na którą w tem miejscu chciałbym zwrócić uwagę. Nie chodzi tu już o prostą sprawiedliwość. Chociażby odszkodowanie było najzupełniej dostatecznym, pastwisko podzielone pomiędzy włościan stanie się jedną z przyczyn, zwiększających nierówność ekonomiczną we wsi. Chociaż panuje u nas własność ziemska indywidualna, jednak, dzięki większym działom i brakowi przedsiębiorczości, nie daje się widzieć we wsiach takiego rażącego podziału na biednych i bogatych, jaki często spotykamy we wsiach ruskich, ale nierówność takowa już się zarysowuje. Jeżeli pastwiska, służące dotychczas ku użytkowi wspólnemu, będą podzielone, bogatsi niewątpliwie otrzymają więcej i posiadając dostateczną ilość ziemi ornej, resztę nadal zostawą na pastwisko; biedniejsi zaś, lub obarczeni liczną rodziną, postarają się jak najbardziej wyeksploatować otrzymaną ziemię i, o ile można, zamienić ją na grunt orny. Nastęstwa takie nie są tylko przypuszczeniem, znajduje ono potwierdzenie w wielu faktach, gdzie serwituty zostały już zniesione na mocy dobrowolnej ugody z obywatelem, zwłaszcza, jeżeli chłopci otrzymali wynagrodzenie w lasach lub zarosłach. Zdarza się jednak często, że cała ziemia dodatkowa zamienia się na rolę. Różnica tkwi w tem, że w pierwszym wypadku część włościan nie mając pastwisk staje się zależną od swych sąsiadów, lub obywatela, w drugim zaś cała wieś zmuszoną jest dzierżawić pastwiska lub łąki. Z łatwością można byłoby uniknąć tych niepożądanych skutków podziału, gdyby dodatkowe grunta oddawane były włościanom nie do podziału lecz na własność wspólną całej wsi. Jeżeli dotychczas cała wieś wspólnie korzystała z pastwiska, należącego do obywatela, to mogłaby ona nadal korzystać z niego w ten sam sposób. Nastąpiła by tylko zmiana właściciela, bez zmiany w sposobie użytkowania. Przez to znikłyby wszelkie powody do zwad i niesnasek, towarzyszących zwykle podziałowi. Powtóre: istniejący stosunek sił ekonomicznych we wsi nie zostałby zachwiany. Trzeba tylko żeby właśnie teraz, gdy nadchodzi chwila rozstrzygnięcia kwestyi serwitutowej, wynagrodzenie w ziemi uznane było jako własność wspólna i niepodzielna.

Sam.

GUY DE MAUPASSANT

STUDYJUM BRANDESA.

(Dokończenie.)

Kilka lat temu, Paweł Bourget pisał w jednym liście o Maupassant'cie: „Chciałbym, żeby był mniej chłodny i panujący nad sobą, żeby go cośkolwiek dręczyło, słowem, żeby przedstawił życie bardziej dramatyczne.“ Zdawało się w pewnej chwili, że Maupassant ułatwił sobie pracę sposobem zapatrywania się na życie, który przyjął raz na zawsze, zamykając się w ciasnym nieco kole idej. Teraz jednak dowiódł, że potrafi sięgać aż do gruntu rzeczy. Doszedł nawet do delikatnej analizy uczuć, on — który tak długo dążył jedynie do tego, żeby romanse jego przedstawiały psychologię w czynie. Niechaj sobie czytelnik przypomni n. p. dokładny i sumienny obraz tajemnych uczuć malarza w *Fort comme le mort*, gdy ten zapytuje siebie, czy jest rzeczywiście zakochany w hrabinie Guilleroy. Jednakże w książce tej, zdaje się, że tkwi niejako reszta wyznania wiary naturalistów. „Widać to przynajmniej z tego faktu, że bohater romansu jest bardzo mało poetą. *Wcale* nie jest poetą, — poprawił Maupassant, kiedy ktoś z odwiedzających go odezwał się z tą uwagą. W każdym razie, zdaje się, że źle rozumiemy ogromną namiętność, jakiej ten człowiek, dzwigający pół wieku na swych barkach, doznaje dla młodzieńczej dziewczyny. Brak mu sił żywotnych. Gdyby miał większy talent artystyczny, wyobraźnię

POCZĄTKI NARODOWOŚCI.

(Karol Kautsky, Narodowość i jej początki, Warszawa 1891.)

I

Do liczby znanych i pożytecznych metod badania zagadnień bardzo zawiłych i złożonych należy sposób, polegający na wyodrębnieniu pewnej, jednej tylko kategorii czynników oraz na analizowaniu ich wpływu. Metoda taka, o ile domyślnie nie zapozna nas z doniosłości czynników innych, posiada tę zaletę, iż pozwala nam daną grupę faktów poznać w możliwie największym natężeniu ich i czystości. W zakresie nauk fizycznych, możność takiego izolowania pewnej kategorii zjawisk, jest największą, a stąd też najznaczniejszą tam bywa owoenność samej metody, otrzymującej nazwę *doświadczenia*. W biologii i psychologii doświadczenie staje się trudniejszym, niemniej jednak wielkie oddawać może usługi badaniu. W naukach społecznych natomiast, całkowicie prawie jesteśmy zmuszeni ograniczyć się do *obserwacji* faktów: doświadczenie jest tutaj zazwyczaj niemożliwym. To też, jedynie *w myśli*, nie zaś w rzeczywistości, możemy wyodrębniać jeden szereg czynników od innego, a co za tem idzie, nigdy nie zdołamy otrzymać równie wyraźnych i niewątpliwych rezultatów takiego wyodrębnienia, jak w naukach fizycznych. Ztądto, między innymi, większa trudność badań społecznych.

Pomimo to jednak możemy z pożytkiem dla wiedzy ogólnej badać działanie jednej grupy społecznych czynników, już to dla lepszego uwydatnienia jej doniosłości, już mając na widoku rozwikłanie bardziej złożonego splotu zjawisk, którego rzeźbienie zbadać niepodobna. W wypadkach takich jednak, musimy pamiętać, że wynik badania posiadać będzie wartość tylko przybliżoną, a tym bardziej odległą od prawdy, im więcej innych czynników wchodziło w skład owego splotu zjawiskowego. Po tem zastrzeżeniu możemy sobie pozwolić nawet na pewną świadomą przesadę w ocenie doniosłości czynnika, przez nas obranego: zbyt wysoka cyfra, jaką w rachunku naszym oznaczymy, znajdzie później przeciwwagę w innych cyfrach, również zbyt wysokich, a mających reprezentować pierwiastki inne; w ten sposób istotny sto-

sunek ilościowy wszystkich czynników nie ulegnie zmianie zbyt wielkiej; myśliciel, któremu wypadnie dokonać syntezy ich wszystkich, łatwo sprowadzi je do właściwej normy, dzięki probierzom rzeczywistości; na przesadzie zaś owej tyle zyskamy, iż żaden z najsłabszych nawet wpływów danego pierwiastka nie pozostanie w ukryciu. Pomiedzy czynnikami wszelkiej grupy zjawisk toczy się spór ustawiczny — walka o byt. Każdy z nich ma swego obrońcę w osobie badacza specjalisty; syntetyk odgrywa rolę sędziego. Niech więc obrońca wypowie wszystko, co tylko powiedzieć może na korzyść swego klienta, niech przedstawi go w barwach najjaśniejszych: taka sama obrona strony przeciwnej wskaże sędziemu, o ile pierwszy głos może zasługiwać na wiarę, zaś cała suma zgromadzonych tą drogą danych faktycznych pozwoli ocenić, ile słuszności miał każdy z obrońców.

W tem oświetleniu sprawy zrozumiemy cały pożytek jednostronnych teorii i poglądów, jak np. Buckla, przypisującego naczelną rolę czynnikom fizyograficznym, Spencera, który widzi znów wszystko w „wojowniczości“, Marksa, dla którego także znaczenie mają czynniki ekonomiczne, wielu historyków kości oł. oddających berło pierwszeństwa wpływom religijnym, Tarde'a, szukającego wytłomaczenia rzeczy w naśladownictwie i t. d. i t. d. Nietylko oburzać się na nich nie mamy powodu, ale pragnąć winniśmy jaknajgoręcej, aby wydobyte przez nich pierwiastki znalazły jeszcze nowych, równie gorliwych i zdolnych obrońców, oraz aby takiejże obrony docekaliby się czynniki inne. Nie łudźmy się myślą, że bez tej pracy przygotowawczej kiedykolwiek geniusz świata dokona ogólnej syntezy wszystkich praw społecznego rozwoju. W dziejach nauki przesada owa ma wielką wagę praktyczną. Oto, zwabieni niezwykłą doniosłością danej grupy faktów, badacze *minorum gentium* rzucają się ku niej w liczbie większej i z większym zapałem, opracowując poszczególne rysy planu, naszkicowanego przez mistrza.

Pomimo wszystko, cokolwiek napisano dotąd o niezmiernej *złożoności* zjawisk społecznych, nieustannie spotykamy się z pomijaniem tej ich cechy, nawet u pisarzy pierwszorzędnych. Nie dziwna więc, że pomniejsi autorowie z taką łatwością dają się zahypnotyzowywać jednej jakiejś olśniewającej ich idei. Nie przeszkadza to im zresztą negować znaczenia idei dla ogólnej sprawy rozwoju społecznego.

i żywszy ogień, jego szalona namiętność znalazłaby więcej materiału do gorzenia.

Romans *Notre coeur*, najświeższy i może najprawdziwszy z utworów Maupassant'a, który stawia nowy krok ku metodzie psychologicznej, traktuje temat rozczarowania w sposób jeszcze energiczniejszy. W pewnym świecie (jestto wyrafinowane społeczeństwo paryżkie, w którym jedynym zajęciem jest kochanie) wykazuje, jak się tam zatracą nawet tę zdolność. Kobiety wyzuwają się z niej z powodu wyrafinowania światowego, które jest obojętne względem miłości fizycznej a nawet sprzeciwia się jej; mężczyźni zaś z przyczyny tej zgubnej mieszaniny miłości zmysłowej i platonicznej, która wynika z zachowania się z nimi kobiet wyrafinowanych.

Może zawczasem jeszcze, żeby rozczarowane myśli o starości i śmierci rzucały gorycz w bogatą czarę, jaką życie składa w ofierze Maupassant'owi którego natura zdaje się być obdarzoną wszystkimi instynktami świeżymi i dzikimi człowieka pierwotnego. Może praca nadmierna i nadmierne używanie podkopały mu zdrowie, które zdawało się niespożyte. O ile tylko da się najczęściej, porzuca on Paryż, którego zgiełku nerwy jego nie mogą znieść. Dawniej miał zwyczaj żyć miesiącami całymi w łódce na morzu, jak prawdziwy marynarz, ale teraz powietrze morskie drażni także jego system nerwowy. „To rzemiosło moje jest przyczyną tego“, zwykł mówić. Dziś zalecają mu już nie morskie powietrze, lecz górskie. Może taki pobyt zubożył jego produkcję literacką, nowym rodzajem wrażeń. Pejzaże, jakie najlepiej dotąd przed-

stawił, są wzięte z miejsca jego urodzenia, z Normandyi, która sama przez się ma tak mało powabu. Ale on ją zna lepiej, niż ktokolwiek inny, i w opisach wykazuje taką samą znajomość rzeczywistości, tę samą prawdę, co w licznych swych obrazach uczuć i obyczajów chłopów i panów normandzkich. Odmalował też ze szczególnym upodobaniem okolice Paryża, zapoznawszy się z nimi dobrze w czasie dziennych i nocnych przejażdżek po Sekwanie.

W tem wszystkim, co się odnosi do otaczającej go przyrody, jest on bardzo oryginalnym. Rozrzewnia nas naturalną poezją, jemu jednemu właściwą. W *Sur l'eau* opisuje tajemnicze piękno rzeki, jej życie dziwne i złowrogie, strach paniczny, ogarniający czasami tego, co się znajduje sam jeden w łódce pośród wód. W innych utworach zdradza skłonność do zestawienia z życiem ludzkim przyrody i wrażeń, przez nią wywoływanych. W *Sous soir*, gdzie opisuje połów na wybrzeżu afrykańskim, bohater chwyta polipa ośmioramiennego, tego potwora, co odgrywa tak ważną rolę w literaturze francuzkiej (la pieuvre, u Wiktora Hugo). Sposób, w jaki Tremoulin pastwi się nad ujętem zwierzęciem, paląc mu ramiona na ogniu w łódce i zabijając go szczyrzykiem, jasno symbolizuje nienawiść do kobiety, która zdradziła go i zhańbiła.

W noweli *Une partie de campagne* szczęście młodej pary symbolizuje śpiew słowika, który daje się słyszeć w krzaku nad ich głowami.

Upojenie ogarnęło ptaka i głos jego, potęgując się zwolna, jak rozszerzający się pozór, lub

Myśl ludzka cierpnie prawie na wspomnienie owej niemal nieskończonej różnorodności krzyżujących się ze sobą wpływów i oddziaływań, których wynikiem ostatecznym jest rozwój społeczeństw. Nie bacząc na to jednak, a może właśnie dla tego, zropaczony umysł badacza, utraciwszy nadzieję ogarnięcia czynników wszystkich, tembardziej zaś stworzenia z nich jakiegokolwiek syntezy jednolitej, chwytła się jakiejś jednej ich nici, bądź najlepiej sobie znanej, bądź też chwilowo, przewijającej się najwyraźniej w różnobarwnej tkaninie dziejów.

Kautsky należy do rzędu pisarzy, opracowujących rozmaite szczegóły wielkiego planu, naszkicowanego przez Marksa. Grupę czynników, umieszczonych przez tego ostatniego na stanowisku naczelnem, składają, jak wiadomo, czynniki ekonomiczne wogóle, zaś sposób wytwarzania (produkcji) w szczególności. Kautsky usiłuje przy pomocy ogólnej formuły mistrza rozwiązywać poszczególne zagadnienia nauk społecznych. Jedną z prób takiego rozwiązania jest właśnie leżąca przed nami broszurka o „Narodowości i jej początkach.“

„Dopóki drobne gminy komunistyczne same sobie wystarczały i żaden materialny interes nie istniał, któryby je zmusił wejść z sobą w bliższe stosunki i związał, dopóty nie było narodowości. Z pośród czynników, które doprowadziły do takiego związku, na pierwszym planie należy postawić trzy, z których jeden zawsze jest obecny i działa pospołu z jakimś innym lub obydwojma w tym samym kierunku. Wszystkie wszakże są wynikiem rozwoju systemu wytwórczego. Są to, z jednej strony, przeważyła *wrogów zewnętrznych*, z drugiej *natury*. Obu wpływom małe gminy nie zdołały sprostać własnymi siłami. Wreszcie trzecim i według nas najważniejszym jest *produkcja towarowa z wymianą towarów*.“

Słowa te streszczają w sobie nietylko główne założenie dziełka, ale i jego argumentację. Jednocześnie też przekonywamy się z nich raz jeszcze o pożytku teorii jednostronnych: wydawnictwa należycie przez Spencera „wojowniczość“, oraz wpływ czynników fizjograficznych, zaznaczony umiejętnie przez Buckle'a, znalazły uwzględnienie nawet u jednostronnego obrońcy innej kategorii wpływów (ekonomicznych); gdy tymczasem czynniki antropologiczne, nie mające jeszcze swojego patrona równej siły, czynniki religijne, pozostające dotąd w wyłącznej prawie kurateli teologów, albo wreszcie czynniki idejowe, których znaczenie dla

społecznego rozwoju dopiero poczynają być przedmiotem badań iście naukowych, zostały pominięte.

Podział ras ludzkich na długogłowe, krótkogłowe i t. p. stał się przyczyną szczególnego pogmatwania pojęć dla rasy osobników tępotliwych. W różnicach tych, istotnie ważnych, poczęto upatrywać nietylko najgłówniejszą, ale jedyną niemal cechę, stanowiącą o odrębności danej rasy; ponieważ zaś w łonie wielu tak zwanych narodowości stosunek liczebny czaszek o wymiarach różnych okazał się jednostajnym, przeto wyprowadzono stąd pośpieszny wniosek, że czynniki antropologiczne w sprawie wytwarzania narodowości nie odgrywają żadnej roli. Dla chemika niedorzeczność twierdzenia, że cukier i krochmal są identyczne, gdyż składają się z jednakich ilości pierwiastków jednostajnych, byłaby oczywistą. Niemniej też widocznym byłoby dla badacza bardziej już pokrewnej dziedziny, dla zoologa—absurd, utrzymujący, że pomiędzy psami o wydłużonych głowach np. wyżlem i char-tem, oraz psami o głowach bardziej okrągłych np. mopsem i pinczerem niema żadnej różnicy. Kiedy jednak „socyjolog“, mający przed sobą długogłowego żyda i długogłowego Niemca utrzymuje, iż nie różnią się oni wcale, pomimo to, że nawet po obdarciu ich ze skóry, jednego od drugiego można byłoby odróżnić, wówczas niedorzeczność otrzymuje miano „teorii naukowej.“ Wyroku tego nie usprawiedliwia bynajmniej świadectwo zmysłów: trzyma się on przedewszystkiem dzięki doktrynerstwu, następnie zaś dla tego, że wykrycie owej jednostajnej „proporcji“ głów krótkich i długich istotnie obaliło pewien błędny pogląd antropologiczny - socyologiczny, każący domyślać się, że wszelka narodowość składa się z jednolitej masy głów jakiejś miary odrębnej. Ci przeto, którzy odrębność antropologiczną jedynie w „indeksach“ widzieli, z owego odkrycia wyprowadzili wniosek, że pod względem antropologicznym różne narodowości są sobie równe. Widocznym jest nadto, iż jednaki liczebny stosunek długich i krótkich czaszek u dwu narodowości nie stanowi jeszcze o jednakim stosunku pozostałych znamion ich fizycznej budowy, a dalej ich inteligencji, pobudliwości, wytrzymałości wobec wpływów zewnętrznych, energii, płodności i t. p. Tyle też tylko potrzeba powiedzieć, dla wykazania, że rola czynników antropologicznych w tworzeniu się narodowości bynajmniej ani zbadaną, ani zobojętnioną nie została przez „teoryję“ jednakiej proporcji głów krótkich i długich. Jedno, czego wystrzegać się ma zwy-

kły śmiertelnik, to przesadnego wyniesienia owych czynników antropologicznych ponad inne: pamiętać zawsze musimy, iż, narówni z czynnikami wszystkimi ulegają one wpływom swych towarzyszy i otoczenia zewnętrznego (martwego i żywego), tradycyi historycznej, religii i t. d. Jednaka nawet „proporcja czaszek“ u dwu narodowości wyda rezultaty odmienne pod wpływem długotrwałych działań innego klimatu, ciągłej wojowniczości, odmiennego sposobu wytwarzania, religijnego ascetyzmu. Na przesadę moglibyśmy pozwolić jedynie geniuszowi, któryby prawo owych czynników potrafił uwydatnić i uzasadnić tak, jak inni uzasadnili prawa „wojowniczości“, wpływów fizjograficznych, lub ekonomicznych; w głowie przeciętnego badacza będzie ona tylko zwykłym „smoczkiem“ vel „ćwiekiem.“

Cementujący wpływ religii, działanie odgraniczające w razie odrębności jej u dwu narodów, albo popychające w kierunku kosmopolityzmu w razie jednolitości, oto znowu szereg czynników, których zbadanie powinno byłoby poprzedzać wszelką racjonalną próbę wytworzenia naukowej koncepcji narodowości. W związku z tym poglądem przytaczano wielokrotnie przykład igrzysk Olimpijskich u Greków. „Smoczek“ ekonomiczny nie omieszka zaznaczyć tutaj, że igrzyska owe były tylko jarmarkami, tak samo jak Achilles Loria, rozwijając w szczegółach zasadniczą myśl materializmu Marksa, przesadza doniosłość ekonomicznych pobudek wojen krzyżowych. Dla nas wszakże, „ekonomiczność“ owych zjawisk powinna być jedną jeszcze wskazówką wzajemnego splecia się i przenikania wpływów społecznych. W żadnym razie nie mamy ztąd wywodzić prawa do zmniejszania doniosłości jednych kosztem drugich. Wogóle zauważyć trzeba, że roztrząśnięcie wzajemnego stosunku ekonomicznych i religijnych czynników społecznego postępu nietylko mogłoby stanowić jeden z najciekawszych rozdziałów socyologii, ale przyczyniłoby się znakomicie do wyswieślenia przyczyn takiej lub innej skali społecznego rozwoju, przeczącej nieraz potencjalnemu a nawet istotnemu postępowi „metod produkcji.“

Jeden z naszych publicystów, którego metoda produkcji umysłowej przebywa jeszcze okres niewolnictwa względem Kautsky'ego, wypowiedział kiedyś zdanie, że idea—w przeciwstawieniu do materialnych czynników społecznego rozwoju jest objawem wtórnym i stanowi zazwyczaj siłę zachowawczą. Pogląd ten o tyle prawdziwy, iż aby

namiętność, która wzrasta, zdawał się towarzyszyć mlaskaniu pocałunków pod drzewem. Z gardziółka jego wylewały się rozszalałe tony, przy niektórych nutach omdlewał na długą chwilę i doznawał wielkich spazmów melodyjnych.

Niekiedy odpoczywał trochę, wydając z siebie tylko dwa lub lekkie dźwięki, które kończyły nagle ostrą bardzo nutą, albo wybuchał gwałtownie, głos jego tryskał, drgał, podrzucał się, niby wrząca pieśń miłosna, po której następowały okrzyki tryumfu.

Ta znajomość przyrody daje Guy de Maupassant człowiekowi z pól i lasów, pewną przewagę nad jego spółczesnikami, np. nad Pawłem Bourget'em, który ze swą inteligencyją potężniejszą i bogatszym wykształceniem zdradza więcej pociągu do eleganckiego umeblowania, do zbytku i komfortu, aniżeli do łąki i rzeki, do rośliny i zwierzęcia.

Przegląd pisarzy pokolenia teraźniejszego — obecnie już starego — tegoczesnych autorów francuzkich, prowadzi do następującej klasyfikacji. Edmund de Goncourt jest najdelikatniejszym badaczem dusz pod względem nerwów. U jego bohaterów nerwy są wydobyte na wierzch, jakby u człowieka obdartego ze skóry, albo w preparacie chemicznym. Gdy igra także z naszymi, gdy nam opowiada np. o rozwoju jakiej choroby, niemożnaby znaleźć bardziej nieubłaganego dręczyciela czytelnika. Jego głęboka oryginalność graniczy z chorobliwym wyrafinowaniem. Zola jest najpotężniejszym najszerszym malarzem życia dzisiejszego. Probuje on ułożyć ze wszystkich swoich romansów

dzieło wielkie, jedyne, gmach wsparty na cyklopowych podwalinach, z murami mocnymi, pełen życia, światła, swędu i dymu. Jest on rubaszny i rozwlekły, często okropnie rozwlekły. Będąc „massif“, ubiega się przedewszystkiem o wywieranie wrażenia na masach. Opowiada rzeczy wysoce komiczne, ale sam nie rozstaje się ani na chwilę z powagą. Nigdy nie uśmiechnie się, nigdy nie powie żartobliwego słowa. Goncourt jest tak prawdziwie nowoczesnym, że nikt w literaturze francuzkiej nie może się z nim równać. Geniusz języka francuzkiego krępuje go w dążnościach lingwisty cznych, i nie jestto jedyną odrębnością, z powodu której można go uważać za zjawisko francuzkie; raczej rozszerza on ideje, jaką ludzie wytwarzają sobie o francuzach. Tak samo Zola nie jest bynajmniej charakterem francuzkim, ze swym brakiem lekkości i wesołości, ze swą skłonnością do przytłaczania nadmiarem, ze swą niezachwianą powagą i z potężną budową swej istoty. Jest w nim dużo włocha.

Nakoniec Alfons Daudet pojawił się wśród prozaików francuzkich, jako artysta uczuciowy. Od pierwszego wystąpienia na arenę piśmienniczą rozrzewnia, bo się uśmiecha ze łzami. Nie ma wcale tej ostrości, która jest tak często charakterystyczną cechą wielkich artystów. Talent jego ma dziwny wdzięk. W początkach swych wprawdzie okazywał niezmierną wrażliwość, bywał czasami nieznośnie sentymentalny. Ale wywoływanie łez z oczu uczuciowych dziewcząt nie było jego jedynym talentem, malował też głupca i nikczemnika w zabawny sposób, umiał

stwarzać typy komiczne. Rychło okazał się mistrzem w dwu dziedzinach: śmiechu i łez, tak wyraźnie rozdzielonych.

Daudet potrafi od jednego razu udzielić mnóstwa wrażeń czytelnikowi, albo raczej jednym dotknięciem umie poruszyć liczne struny naszej duszy, tak że przesuujemy się z jednego wrażenia do drugiego. Bardziej narodowy od Zoli, jestto francuz z południa, prawdziwy prowansalczyk, z talentem giętkim, pomysłowym, zabawnym, barwnym, ruchliwym, — południowiec, obdarzony najbystrzejszym okiem na przywary i wady spółziomków swoich.

Ale żaden z pomiędzy najdawniejszych ani też spółczesnych romantyków nie jest tak francuzkim, jak Guy de Maupassant; w porównaniu z nim Paweł Bourget jest kosmopolitą a Huysmans holendrem. To galijczyk pomiędzy wielkimi romansopisarzami, — nigdy okrutny jak Goncourt, nigdy rozwlekły jak Zola, nigdy sentymentalny jak Daudet. Ale jest płytszy od nich. Takie dzieła jak *l'Assomoir*, *Sapho*, *Mannette Salomon*, są niezaprzeczenie wynikiem głębszych studyjów nad ludźmi. Leczn jest jeszcze młody i granice jego talentu, którego niepodobna zaprzeczyć, nie są stanowczo zakreślone. Bo chociaż tu i owdzie jest powierzchownym, to pozostaje zawsze klasycznym, czyli że zawsze jest pewnym zupełnie swego przedmiotu. Po nad zmysłowością, po nad ukośnieniem swobody wesołością i satyrą, litością i melancholiją sżybuje w nim jasne i pewne poczucie sztuki.

Przełożyła Zofija Grabowska.

módcz myśleć, potrzeba mieć głowę, nie świadczy jednak, że posiadanie głowy wystarcza do tego aby módcz myśleć. Ale, zaznaczywszy tutaj tylko że od czasów niepamiętnych istnieją już w przyrodzie *wszystkie* materialne czynniki postępu, że zużytkowaniu ich stoi jedynie na przeszkodzie niedojrzałość idei, że w dziedzinie twórców sztucznych dzięki swojej sile wiążącej, ucieleśnia ona to, co w otoczeniu materialnym, albo duchowym istnieje li tylko jako szereg niezestawionych, a tembardziej nie zespolonych części, że w końcu wszelki bardziej złożony wynalazek musiał zawsze pierwiej ukazać się w myśli, zanim począł istnieć w rzeczywistości, postaramy się zrozumieć, że nawet uznawanie idei za potęgę „wtórą“ i „zachowawczą“ nie wyklucza jej z rzędu czynników społecznego życia. To też, sądziłbym, iż ocena wpływów *idei* narodowości, w sprawie narodowościowego rozwoju, powinna również poprzedzić wszelką próbę formułowania ogólnych dziejów narodowości samej. Stosuje się to szczególnie do czasów nowszych.

Wogóle, broszura zyskałaby wiele i wielu uniknęłaby zarzutów, gdyby nadano jej nagłówek np. „Ekonomiczne czynniki narodowości.“ Pogodziwszy się jednak z jej przeoczeniami, zobaczymy teraz, w jaki sposób tłumaczy autor działanie swych, szczególnie przez siebie uwzględnionych czynników ekonomicznych.

Trudno o większe pogmatwanie fałszu z prawdą, niż to, jakie znajdujemy w pracy Kautskiego. Błędem jej metodycznym jest brak dokładnego lub nawet jakiegokolwiek określenia przedmiotu jej badań, t. j. samej narodowości. Daje to autorowi możliwość bezładnego rozprawiania o wszystkim, co tylko ma z nią związek, krytyce zaś utrudnia bardzo sprawę zaznaczania jego niekonsekwencji i usterek. Czytelnik czuje wprawdzie niekiedy, że autor popełnił błąd jakiś, ale wykryć go nie jest w stanie: w danym twierdzeniu poszczególnym fałszu nie spostrzegamy, razi nas tylko jakaś ogólna twierdzenia tego niezgodność z poglądami innymi. Tajemnica tej istnej zmyry umysłowej na tem polega, że jedne z twierdzeń autora stosują się do abstrakcyjnego pojęcia narodowości, inne do poczucia tejże, inne znowu do narodowości samej, jeszcze inne do państwa, klasy społecznej i t. d., jedne do bardziej pierwotnego, drugie do późniejszego, wyższego, stadyum rozwoju; jedne do skupienia ludzi wolnych, inne do ujarzmionych, autor zaś domyślnie każe czytelnikom stosować to wszystko do owego czegoś, o czem sam nie ma należytego pojęcia, a co podobno mu się nazwać narodowością.

Jakkolwiek w zagadnieniu, tak mało zbadanem, trudno jest o definicyję zadawalniającą, to jednak musimy pokusić się o jakie takie bodaj określenie narodowości dla uzyskania jakiegokolwiek probierza krytycznego. Czytelnikowi pozostawi się tutaj swobodę przyjęcia lub odrzucenia owej definicyi; jedno, o co prosić go zamierzamy, to aby zechciał przedewszystkiem uważać, czy do określenia naszego można będzie stosować nasze wywody, następnie zaś, aby zobaczył, czy i o ile wywody te mogą być miarą słuszności wniosków Kautskiego.

Jako pojęcie oderwane, narodowość jest sumą znamion cielesnych, duchowych i społecznych, jakie, wyrobiwszy się na gruncie tak lub inaczej skojarzonych właściwości antropologicznych, pod zewnętrznym wpływem operującego w czasie i w przestrzeni żywego i martwego otoczenia, oraz pod działaniem wewnętrznym idejowo-uczuciowych i materialnych czynników, za sprawą głównie tradycyi historycznej—dochodzą stopniowo do świadomości myśli i uczuć nacechowanego w powyższy sposób ogółu.

Określenie to jest nawskroś dynamiczne: wyznaczający właściwą rolę każdemu z czynników współdziałających, pozwala ono nie tylko przewidywać, że doniosłość każdego z nich może się zmieniać rozmaicie różnemi czasy, ale, nadto, każe ono domyślać się, że z biegiem rozwoju pewna kategoria czynników stale będzie uzyskiwała przewagę nad innymi. Istotnie, dla wszystkich tych, dla których postęp polega na coraz większem zapanowaniu ducha nad materją, oczywiście jest, iż w sprawie tworzenia się i wyodrębniania narodowości, czynniki materialne (antropologiczne, ekonomiczne i t. d.) będą miały znaczenie coraz mniejsze w przeciwieństwie do czynników duchowych (tradycyi, społeczna świadomość wspólnych praw, działań i znamion duchowych).

Nie utożsamiając narodowości z państwem, co stanowi jeden z częstszych błędów Kautskiego, definicyja nasza pozwala wszakże domyślać się, o ile zewnętrzne narzędzie woli zbiorowej, państwem zwane, skutecznie dopomaga postępowi wzmiankowanej wyżej świadomości, z drugiej zaś strony, o ile samo ono działać może sprawniej, gdy jest wyrazem jednolitych, nie zaś rozbieżnych a często wrogich świadomości zbiorowych.

Określenie to wreszcie nie utożsamia narodowości z *rasą*: ta ostatnia jest dla niej tylko gruntem najpierwotniejszym. Zależność narodowości od czynników materialnych, nie znikając nigdy całkowicie, staje się jednak coraz słabszą, coraz mniej związaną z warunkami przestrzeni, zaś podlegającą jedynie warunkom czasu. Narodowość podobną jest z tego do lilii morskiej, która, oderwawszy się od pnia macierzystego, nie tylko nie traci swej indywidualności, ale może samo dać początek nowej kolonii osobników, czerpiąc do czasu pożywienie li tylko z powszechnego, a wspólnego wszystkim istotom żywym otoczenia—z powietrza i wody.

J. K. Potocki.

LITERATURA DLA PANIEN.

Podręcznik do nauki literatury powszechnej, ułożony przez Teresę Prażmowską—Warszawa i Kraków. Nakład T. Paprockiego.

I.

Jak sam tytuł jej wskazuje, praca p. Prażmowskiej przeznaczona jest do nauki szkolnej. Autorka „składa książkę na użytek młodzieży“, nieokreślając płci, widocznie jednak pisze dla panien wyłącznie, bo opuszcza literaturę polską, ruską, francuską i niemiecką, które oddzielnie są wykładane. Otóż tylko na pensyjach żeńskich uczą oddzielnie literatury niemieckiej i francuskiej.

Podręcznik szkolny do nauki literatury powszechnej musi być kompilacją, jest nią też książka p. Prażmowskiej. W końcu przedmowy nadmieniam autorka, że czerpała z rozpraw pp. Kaszewskiego, Porębowicza, B. Grabowskiego i J. A. Świącieckiego, których „gruntowne i uczone prace, zawarte w *Dziejach literatury powszechnej*“, były dla niej „obitą źródłem wskazówek i wiadomości“.

Co prawda, możnaby było znaleźć zagranicą lepsze nieraz źródła, bo trudno np. uwierzyć w „gruntowność i uczoność“ prac p. Kaszewskiego. A jeżeli nawet nie składa się zmarłym „hołdu dziękczynnego uznania“, wypadło wspomnieć o dziele J. Szujskiego—*Rys dziejów literatury świata niechrześcijańskiego*—z którego, zwłaszcza w pierwszych rozdziałach swej książki, czerpała p. Prażmowska dosyć obficie.

Każdy podręcznik stosować się winien do wymagań pedagogicznych, a więc podawać tylko rzeczy powszechnie uznane i krytycznie stwierdzone i nie przeciążać pamięci ucznia niepotrzebnymi szczegółami. Unikając niedostatecznie udowodnionych lub spornych hipotez, należy jednak zapoznać czytelnika z najnowszymi zdobyczami nauki w danym zakresie. Niestety, żadnemu z tych wymagań praca p. Prażmowskiej nie odpowiada.

Jakkolwiek nie jest ani zupełnym, ani wyczerpującym wykładem dziejów literatury powszechnej, jak na podręcznik przeładowaną jest mnóstwem niepotrzebnych szczegółów, dat, nazwisk i t. d. Materiał zaś rozłożony jest nierównomiernie. Tak np. początki literatury średniowiecznej zajmują aż 5 rozdziałów, nie licząc 6, w którym mowa o literaturze chrześcijańskiej w języku łacińskim i 7—poświęconego piśmiennictwu arabskim i żydów, po upadku Judei. Tymczasem cała literatura angielska od początku jej aż do ostatnich prawie czasów, ścisnięta została w jeden rozdział. O miernym poecie hiszpańskim Campoamorze ¹⁾ pisze p. Prażmowska dwa albo trzy razy tyle, co o Shelleyu, o Tennysonie doleko obszerniej, aniżeli o Walter-Scott'cie lub Tomaszu Moorze i t. d. Pomijam jednak tego rodzaju usterki, są bowiem w książce błędy i braki daleko ważniejsze.

Dzieje literatury mają być doprowadzone mniej więcej do połowy bieżącego wieku. Wykład literatury hiszpańskiej, angielskiej, skandynawskiej przekracza nawet tę granicę i zbliża się do osta-

¹⁾ *Nb.* Podawanie dosyć drastycznej treści tego poematu nie jest w podręczniku dla młodzieży właściwem.

tnich prawie czasów. Natomiast literaturę portugalską przerywa autorka z końcem XVII wieku, tak samo czeską, ubocznie tylko wspominając o jej odrodzeniu, które przecie zaczęło się w początku naszego stulecia. Poświęcając aż 4 strony literaturze *Cyganów*, ani słówkiem nie wspomina p. Prażmowska o literaturze słoweńskiej, chociaż odrodzenie jej w formie t. zw. iliryzmu odbyło się w pierwszych latach XIX wieku, ani o daleko ważniejszych i ciekawszych, aniżeli literatura cyganów, piśmiennictwach, jak np. nowo-greckie, litewskie, gruzińskie, łużyckie, łotewskie i t. d. Zapewne do literatury cyganów pod ręką znalazło się źródło, z którego łatwo było czerpać, a do dziejów wymienionych wyżej piśmiennictw źródeł, równie dostępnych, zabrakło.

Zresztą trudno mieć pretensję do autorki, że opuściła np. literaturę nowo-grecką, kiedy o Bizancjum, które miało tak znaczny wpływ nie tylko na sąsiednie ludy słowiańskie, ale i na życie umysłowe Zachodu zupełnie zapomniała. Ponieważ nie mogę przypuścić, żeby autorka nie wiedziała o tem, wolę przypisać to opuszczenie jednemu z tych kaprysów kobiecych, których my, mężczyźni zazwyczaj zrozumieć nie możemy.

Natomiast dla murzynów jest p. Prażmowska dosyć łaskawą, wspomina bowiem o ich „literaturze“, bez której wybornie można było się obejść. „Jedno tylko plemię Madogessów (?) posiada prócz inkantacyj pieśni“ powtarza za Szujskim p. Prażmowska. Ci „Madogessy“ oznaczać mają zapewne mieszkańców Madagaskaru, Hova, którzy nie są murzynami a mówią językiem, należącym do grupy lingwistycznej malajskiej.

Na kilku stronicach mówi autorka o Aztekach i ich literaturze, z której żadnych prawie zabytków nie zostało. Jeżeli już koniecznie trzeba było wspomnieć o „literaturze“ ludów amerykańskich, należało raczej wspomnieć o poezyi perwiańskiej (w języku *quichua*). Dotyczyłaby w ustach ludu przetrwały pieśni *Harhuis*, ułożone jeszcze za panowania Inków. Oprócz tego zachowano jedyny utwór, który może być nazwany utworem literackim, dramat p. t. *Ollanta*. Tschudi przetłumaczył prozą ten dramat na język niemiecki, a A. Wickenburg wierszem. Fałszywym jest twierdzenie, że cywilizacja meksykańska upadła tak szybko, iż Karol V nie mógł znaleźć nikogo, kto by wykladać mógł język Azteków. Język ten bowiem do dziś dnia istnieje.

Podawanie takich luźnych wiadomości o poezyi murzynów, lub piśmiennictwie Azteków (nb. utwory literackie nie były pisane, bo pismo obrazowe nie nadaje się do tego, ale uczono się ich na pamięć) nie przynosi żadnej korzyści, owszem szkodzi raczej, bo nasuwa czytelnikowi lub uczniowi fałszywy domysł, że oprócz wymienionych inne ludy nie posiadają ani poezyi własnej ani piśmiennictwa. Tymczasem możnaby wymienić cały szereg prawdziwych piśmiennictw, o których p. Prażmowska (z czego zresztą nie robię zarzutu) wcale nie wspomina. Dosyć wymienić tu np. obszerną i oryginalną literaturę w języku *tamulskim* (grupa drawidyjska) w Indyjach, literaturę *telinga* i t. d., abisyńską, poezję polinezyjską i malajów i t. d.

Nie twierdzę bynajmniej, że o tem wszystkim trzeba było pisać, przeciwnie, można było śmiało pominąć i azteków i murzynów i cyganów i wiele innych rzeczy. Chodzi mi o to tylko, że podawanie „na wrywki“ przypadkowo wziętych wiadomości daje uczniowi błędne pojęcie o przedmiocie.

Obok tego spotykamy czasem wiadomości zgoła fałszywe, zwłaszcza kiedy p. Prażmowska wkracza w dziedzinę lingwistyki lub etnografii. Autorka odkrywa nie tylko nieznaną etnografom narodowość tatarów-mongołów, ale i zgoła nieznaną geografom „dzisiejszą Tataryję (!)“, którą zamieszkują „właściwi tatarzy“. Niewiadomo po co w końcu książki znajduje się tablica języków „tatarsko-uralskich“ inaczej „ugro tatarskich“ inaczej jeszcze „uralsko-alfajskich“ z których to nazw tylko ta ostatnia jest używana.

Rozdział „o powstawaniu mowy i pisma“ poprzedza wykład dziejów literatury. Ale właśnie ten rozdział zawiera cały szereg błędów i fatalnie rekomenduje książkę. Proces powstawania i wzrostu języka w przedstawieniu autorki wywołuje poważne zarzuty, p. Prażmowska bowiem z naiwną powagą mówi o „pierwotnej mowie ludzkości“... „czy był nią sanskryt (!), czy jak dawniej twierdzono, hebrajski“. Podział języków na „symboliczne i mianujące“, tych zaś ostatnich na „syntetyczne i analityczne“ nie ma żadnego naukowego znaczenia, a o tak ważnym podziale na języki: jednozłogkowe,

przyczepkowe, czyli aglutynacyjne i fleksyjne — autorka nie wspomina wcale. A szkoda, bo uchroniłoby ją to przynajmniej od takich błędów, jak zaliczenie jednozgłoskowych języków tybetańskiego i kochińskiego (? zapewne anamskiego) do rodziny uralno-łtajskiej języków aglutynacyjnych.

Ciekawym odkryciem dla lingwistów będzie wiadomość, że „wyrazy, służące do nazwania istot lub przedmiotów, znanych od pierwocin świata, mają we wszystkich prawie językach też same spółgłoski tematowe, jak np. słońce: s, ł, (l), matka m i t. Dostyć przejrzyć krótki spis nazw ojca i matki w dziele Lubbocka, aby się przekonać, że w bardzo wielu językach nazwa matki, ani m, ani t nie zawiera. Ale ciekawszym jest twierdzenie, że „narodów północnych, narażone na ciągłe zimno wytworzyły sobie języki, w których przeważają spółgłoski, dające się wymówić za jednym otworzeniem ust, np. *barszcz, candlestick*; mowa narodów południowych obfituje w samogłoski i dyftongi, które czynią język płynniejszym“. Na tej zasadzie język i naród czeski wypadłoby zaliczyć do północnych, ruski zaś, który unika zbiegu spółgłosek — do południowych. To samo powiedziec można o językach fińskich. P. Prażmowska dołączyła do książki 2 tablice języków. Należy zawsze w podawaniu klasyfikacji, zwłaszcza w podręcznikach, być bardzo ostrożnym i jeżeli nie można ominąć zdań i wiadomości wątpliwych, trzeba zrobić przynajmniej zastrzeżenie. Nie wiem z jakiego, ale niewątpliwie z bardzo mętnego źródła czerpała autorka informacje do tych tablic. Język etruski nie należy wcale do greko-italskich, ani kaukaskie narzecza, z wyjątkiem osetyńskiego, do irańskich (erańskich); nazwa *pelwi* dla języka Bundehesu nie jest właściwą, nazywa się on *huzwaresz*; zaliczenie języka egipskiego do grupy semickiej nie wytrzymuje krytyki, zalicza się on bowiem do odrębnej, jakkolwiek być może pokrewnej grupy języków chamijskich, *prakryt* nie jest językiem „mało wyrobionym, używanym przez lud i kobiety“, ale w przeciwstawieniu do sanskrytu, języka literackiego, był mową potoczną, a *pali*, język buddystów — to tylko jedna z odmian prakrytu. Dla czego język buryjski, pokrewny mongolskiemu, i tunguski, pokrewny mandżurskiemu zostały od nich oddzielone i znalazły się w jednej grupie z samojezdkiem i ostyjackim — trudno zrozumieć. Zapewne dla zastąpienia pustego miejsca do towarzystwa mongolskiemu i mandżurskiemu przybył tybetański; a węgierski znowu porzucił grupę fińską i utworzył oddzielną, być może żeby ułatwić adaptację do rodziny uralno-łtajskiej językowi baskijskiemu, który ma tyle z nimi wspólnego, ile np. polski z tureckim. Wskutek tej klasyfikacji tworzą się dziwne pokrewieństwa etnograficzne: Baskowie są według p. Prażmowskiej potomkami Celtiberów (wątpliwych zresztą), ci ostatni więc byli krewniakami Finów z jednej, a ludów amerykańskich — z drugiej strony, bo język basków ma być i do tych ostatnich podobnym.

Są to znowu szczegóły, nieraz drugo i trzeciorzędne, lepiej więc było wiadomości tego rodzaju opuścić, aniżeli podawać je błędnie i macić w głowach młodych czytelników.

Ale oprócz nie sprawdzonych krytycznie szczegółów spotykamy w zakresie wiadomości lingwistycznych błąd, a raczej fałsz nie do darowania. Przytoczyłem już zdanie, w którym p. Prażmowska nazywa sanskryt „mową pierwotną“ ludzkości, dalej na str. 35 powiada, że sanskryt „uważany jest (przez kogo?) za prajęzyk wszystkich indo-europejskich“, na str. 76 czytamy, że język grecki „wyrósł z pnia sanskrytu“, na str. 133, że starożytni rzymianie mówili „językiem, w którym silnie zaznaczało się pochodzenie od pierwotnego źródła — sanskrytu“ i t. d. Błąd ten, jakoby sanskryt był praojcem języków aryjskich, dosyć jest rozpozszechniony wśród publiczności, ale w podręczniku „do nauki“ nie powinien dziś znaleźć miejsca.

Nie mniej fałszywą jest geneza języków romańskich. P. Prażmowska tak sprawę tę opowiada: „język łaciński pozostał wszędzie przez czas pewien podstawą pisma i mowy, ale stopniowo przyjmował w siebie obce żywioły, przekształcał się używaniem, tracił pierwotną czystość, zmieniał tak składnię, jak i stylistykę (?) i wyrodził się w ustach gminu w tak nazwany romański, *romanzo*, z którego wtedy dopiero wyrosły języki, dziś do grupy romańskich należące, gdy pomiędzy narodowościami, składającymi romańszczyznę, ustalił się dokładniejszy podział“.

Co zdanie — to fałsz, albo niedokładność. Jednego języka romańskiego — *romanzo* — nigdy nie było,

można, co najwyżej, mówić tylko o romanzo hiszpańskim, francuskim, włoskim. Właściwie zaś były języki nowo łacińskie, a powstały one nie wskutek zepsucia łaciny klasycznej, ale pochodzą w prostej linii od łaciny ludowej, które w każdym z krajów dziś romańskich przekształcała się inaczej. O dawna już to wykazali Littré, Darmesteter i inni.

Rozdziałowi o piśmie zarzucić można, że jest niedokładnym. Tak nazwane tablice różnych rodzajów pisma są właściwie „kluczami“; wzorów pisma nie ma wcale i czytelnik nieobeznany z kwestyjami nie wiele z owych tablic zrozumie. Nie powiedziano również, co to jest pismo *hieratyczne*, następnie zaś na str. 64 autorka mówi, że fenycjanie wzięli „głoskowe znaki pisma hieratycznego“ i utworzyli „pierwsze pismo fonetyczne *abecadło*“. Dodać trzeba, że na str. 8 odróżnia znowu p. Prażmowska „pismo fonetyczne“ od właściwego „alfabetu“.

Podawanie w formie stanowczej legendy, że „Kadmus i jego towarzysze wprowadzili do Europy alfabet fenicki“, albo, że „niejaki Linos zastosował głoski jego do dźwięków mowy greckiej“ jest dosyć naiwnem nawet w podręczniku dla młodych pańienek.

Zaznaczę tu jeszcze, że dziś już udowodniono pochodzenie alfabetu fenickiego od pisma starosemickiego, które jednak niewątpliwie od egipskiego hieratycznego pochodzi.

Brak miejsca zniewala mnie do pobieżnego zaznaczenia niektórych tylko błędnych lub niedokładnych wyrażen w wykładzie dziejów literatury, jak np. „odrębnym (od czego) jest język chiński, niewiadomo z jakiego wytworzony“, (?) „jak daleko sięgnie pamięć dziejowa zawsze spotyka się Chiny na tym samym, co dzisiaj, bardzo wysokim stopniu oświaty, oraz ustroju społecznego, stanu przejściowego, wytwarzania się tegoż ustroju dzieje nie pamiętają wcale“. Od biedy można było tak mówić przed 30 laty, dzisiaj jednak wiemy, że działo się przeciwnie, i znamy nawet główne etapy przewartowania się ustroju społeczeństwa chińskiego.

Przynależność języka japońskiego do rodziny uralno-łtajskiej jest, co najmniej, wątpliwą, przeciwnie, pochodzenie japończyków wcale nie jest niewiadomem. Obok *Mikada* nie stoi dziś *Syogun*, „piastujący władzę świecką“, bo urząd ten, którego znaczenie przesadzano, przed dwudziestu laty został zniesiony. Przypuszczenie, że „Aryjowie-Hindusi“ i „Aryjowie-Zendowie“ (tak nazywa autorka ludy gałęzi erańskiej) rozeszli się z pierwotnej siedziby „zapewne z różnicy pojęć religijnych“ jest po prostu śmiesznem, twierdzenie zaś, że keltowie, pelazgowie, germanowie (?), słowianie i — semici rozeszli się z „wyżyny azyjatyckiej“ (nie wiadomo gdzie leży ta miejscowość, tak ogólnie określona), czy wogóle ze wspólnej siedziby — jest hipotezą nie zaś pewnikiem. Ani słowa nie znajdujemy o tem, że literatura indyjska w narzeczach współczesnych (hindi, bengali i t. d.) rozwija się dzisiaj, jak również literatury w językach drawidyjskich, np. tamulskim. W Indjach wychodzą setki pism, istnieją uniwersytety miejscowe. O umysłowym ruchu Japonii również bardzo mało mówi autorka, a należało przecie fakty te uwydatnić. Japonia np. zajmuje między państwami szóste miejsce co do liczby wydawanych książek.

W rozdziale VII dowiadujemy się, że już nie „wyżyna azyjatycka“, ale nizina Mezopotamii „uważana być winna za kolebkę semitów“. Zresztą; jeżeli dziś semici umieją siedzieć na dwóch stołkach, dla czegoż by ich protoplaści nie mogli posiadać dwóch kolebek. Język, który p. Prażmowska nazywa akkadyjskim „nie ma nic wspólnego z językiem semitów; pierwiastki jego odnajdują się w mowie ludów, należących do rasy turańskiej“. Nie mogę w tej kwestyi zabierać głosu, ale takie powagi, jak Halevy, Renan, S. Guyard wreszcie Fr. Müller twierdzą, że ów język, który zresztą częścię nazywają sumeryjskim lub sumirskim, nie ma nic wspólnego z uralno-łtajskimi, niektórzy zaś sądzą nawet, że teksty są pisane w języku asyryjskim, ale za pomocą ideogramów.

Główną wadą całej książki, a specyjalnie pierwszych rozdziałów jest przeładowanie treści szczegółami, często zbyt czynnymi i obciążającymi pamięć. Natomiast o życiu umysłowem egipcjan, indusów, asyryjczyków, o charakterze ich twórczości czytelnik nie otrzymuje żadnego pojęcia. Podobno p. Prażmowska ma zamiar, jako uzupełnienie podręcznika, wydać wypisy, które choć w części brakowi temu zaradzą, szkoda tylko, że autorka, nie zna widocznie wielu przekładów polskich, bo nie wspo-

mina o nich wcale, cytując tylko przekłady francuskie lub niemieckie.

Na wstępie do wykładu literatury greckiej dowiadujemy się, że nazwa Pelazgów pochodzi ztąd, iż osiedli w Argosie (Pelargos — Pelargos). Godnie wtóruje tej fantazyi etymologicznej twierdzenie, że „religija Grecyi (chyba greków) była pierwotnie monoteistyczną“, oraz że „Zeus, nazwany później Jowiszem (?), był jedynym bogiem“, lub że „kultem prawdziwie i ogólnie narodowym jest cześć dla Pallady-Atene“, kiedy sam epitet bogini wskazuje, że kult jej był miejscowym, ateńskim.

„Po stronie Eolo-Dorów, jak i prastarych Pelazgów widzimy pojęcia abstrakcyjne“ tak, co prawda bardzo niejasno, wyraża się p. Prażmowska na str. 78, na 92 zaś powiada, że słów Szujskiego, że poezycja „eolsko-dorycka ma wszędzie kierunek praktyczny, wiąże się z obrzędami religijnymi, z rolnictwem, z wychowaniem młodzieży“. Jest to drobniak, ale podobne, a czasem ważniejsze sprzeczności zdarzają się bardzo często.

Niepodobna prostować wielu innych niedokładności, trzeba by bowiem sprawdzać całą książkę, zaznaczyć więc tylko, że autorka nazwiska greckie podaje to w greckiej, to w łacińskiej transkrypcji i że znowu nie zna, czy zapomina przekładów polskich wielu utworów. Tak np. mówi, że Iliadę tłómaczył F. Dmochowski, a np. nowego przekładu Szmurły nie zaznacza i t. d. Należałoby też wspomnieć tu o charakterystykach historycznych i literackich, ale pomówię o tem w przyszłym artykule.

J. L. Popławski.

W KRAJU URANII.

Noc jasna, cicha. W niebios błękitcie
Drżą złote blaski odległych światów;
Srebrny krąg wisi wśród gwiazd w zenicie
I srebrzy śpiące korony kwiatów.

Wieszczka Uranija w szacie z gwiazd tkanej
Zapala złoty pas Oryjona;
Już w szlaku mlecznym drogi świetlanej
Błyszczy kapłanki nieba korona.

Syryjusz błękitną wiązkę promieni
Szle w bezgranicznych lazurów tonie,
A w niedościgłej myśli przestrzeni
Blask mgławic lekkim obłoczkiem płonie.

Wszędy ruch, życie. Prawa Newtona,
Praw keplerowskich owiane duchem,
Pędzą gwiazd krocie, a Alcyjona
Zdaje się rządzić odwiecznym ruchem.

Patrząc w te cuda, niebiańskiej córy
Pytam: czy piękny układ wszechświata,
Księżyce, słońca i mgławic chmury
Nieskończoności trwać będą lata;

I czy przed wieki system słoneczny
Był takim, kiedy wódz astronomów
Kreślił mu wkoło słońca ruch wieczny,
Wliczając ziemię w rzędy atomów?

Na to mi rzekła kapłanka nieba:
„Chcesz słońce zobaczyć dzieje minione?
Możesz je widzieć, tylko ci trzeba
Wzlecieć w otchłanie niedoścignione;

Tam gdzie drżą jeszcze światła promienie,
Wysłane w chwili urodzin słońca,
Wezmę cię z sobą w nieba przestrzenie,
Byś widział morze czasu bez końca.

I ciepły uścisk jej cudnej dłoni
Pozbawił ciało moje ciężaru;
Z prędkością myśli, w eteru toni
Płynąłem z wieszczką w krainę czaru.

Sąsiad Mars, Saturn z pierścieniem lśniącym,
Jowisz i jego wassale mali
Wszystko to pierzchło; słońce błyszczącym
Punktem się stało i zgasło w dali.

Byliśmy w ciemnej, głuchej otchłani;
Czasem jak cudna, barwna rakietka,
Którą rzucają w przestrzeń tytani,
Mknęła gdzieś z obcych światów kometa.

Wreszcie szlak mleczny zmałał i w dali
Zlały się w obłok olbrzymie słońca...

Tu, rzekła wieszczka, w eteru fali,
Co, światło tworząc, płynie bez końca

W przestrzenie, ujrzyś minione dzieje,
Zaszle przed wieki na waszym globie:
Patrz,—Galileusz; kler zeń się śmieje;
W popiół zamienia myśl wrogą sobie.

Leciąca dalej; a światła fala
Jak w kalejdoskop kładła obrazy
Dziejów: Nerona, co Rzym podpala,
I—tych, co wiedli lud w prawd oazy.

Potem widziałem dzikich postaci
Błądzące w lasach krwiożercze hordy,
Tępiące łukiem własnych współbraci;
—Kolebkę ludów, ich krwawe mordy,

A światło coraz starsze obrazy
Niosło. Ujrzałem okres lodowy;
Kredowych pięt olbrzymie płazy;
Lasy paproci, peryjod węglowy,

I Sylluryjskich wód ciepłe fale,
Myjące brzegów nagie granity;
I amonity spiące w kryształach
Dewon i matki ryb—trylobity.

Wieszczka wciąż mknęła. Już Magelana
Mgławica pierzchała w toni bezdennej...
Błysnęła w zmroku kula świetlana...

„Przypatrzyć się“, rzekła, tej mgły płomiennej:

To wasz systemat. Co hipotezę
Laplasa dotąd wiedza nazywa,
Jest prawda, w którą nie wszyscy wierzą.
Patrz, z mgły olbrzymi pierścien odrywa,

Wiruje zdala od kuli lśniącej:
To dzień urodzin bożka Urana;
A te punkciki z masy błyszczącej
—Jego księżyce.

Kula świetlana

Patrz: jak wiruje, nowe pierścienie,
Kręcąc się coraz to szybszym ruchem,
Rzuca w dalekie niebios przestrzenie;
Kant wasz to przeczuł wielkim swym du-

Pomknijmy dalej; mgławic początek [chem.
Pokażę... Widzisz te wielkie globy
Ciemne i zimne: tu życia watek
Pękł; to są planet umarłych groby;

Błądzą podobne do nocnych duchów,
Dopóki wieczny kodeks Newtona
Nie ujmie w karby praw błędnych ruchów,
I nie pochwyli tych brył w ramiona

Siła ciężenia... Patrz, jak na niebie
Pędzą te straszne martwe olbrzymy;...
Spadły; z materii skrzepłej tam w niebie,
Zostały tylko błyszczące dymy.

Nowa mgławica — kolebka światów
Wysła w przestrzeń promyczek błady,
A eter dzieje tych systematów
Wplata do wiedzy waszej Plejady.

Tu w niedościgłej dla myśli toni
Jednych praw błyszczą aksjomaty:
Tam z prochów trupa kwiat pełen woni
Wzrasta; tu z trupów tworzą się światy.

I tam gdzie była planet mogiła,
Już lśnią się blaski nowego słońca...
Czas, ruch, przestrzenie, materija, siła
Są bez początku — będą bez końca.

I strach mnie przejął w tej gwiazd świątyni,
Myśli zamarły wobec ogromu
Tych bezdn; co widząc, piękna bogini
Rzekła z uśmiechem: „więc wróć do domu“.

I zawieszony na gwiazd promieniach
Spadłem na ziemię z Uranii morza...
Świt kładł purpurę na nocy cieniach
Złotem się lśniła poranna zorza.

Bronisław Wyganowski.

BEZ OBLUDY.

Estetyka na żółto, zielono i czerwono. — W Salonie. — W Towarzystwie muzycznym. — Torpile. — Sabałowa Bajka.

W prasie naszej rozpoczęły się już doroczne wyścigi z przeszkodami, istne „hurdle races“, wśród których zarówno bałamutne wskazówki starterów, jak i sztuczki współzawodników utrudniają zwycięstwo. W szeregu czasopism ilustrowanych, ostatnimi czasy, udało się „Wędrowcowi“ wyprzedzić towarzyszy przynajmniej o pół konia. Już to umorusawszy sobie oblicze sokiem agrestowym, już wprowadzając na marginesy piesków z zadartymi ogonkami, już wreszcie niepoślednim gatunkiem papieru, dość ze ciągle czemś nowem zaostrzał o ciekawość starych dzieci i spędzał sen z powiek starych swoich kolegów i koleżanek. Ale niedługo trwała uciecha. Naprzód, rozeszła się w „Kuryerach“ wieść niepożądana, że p. Gawalewicz, współpracownik „Tygodnika Ilustrowanego“ pojechał do Lipska w celu studyjowania postępów pyrotechniki, chiromancyi, nostalgii tudzież innych nauk, wchodzących do zakresu drzeworytnictwa. Nie minął tydzień, aliści na czele „najważniejszej naszej ilustracji“ ukazuje się jakaś pani, ani trochę nie mniej zielona, niż pudle albo zachód słońca w „Wędrowcu“ czy zzieleniała z zazdrości, czy barwą nadziei zakwitła dla swoich życiodawców — nie wiem, lecz tak ją uszlachetniały owe postępy pyrotechniki, że miała w sobie „coś z ogórka i znów coś z sałaty“.

Ale na tem nie koniec. Gdybyście, państwo, zobaczyli jak pięknie zazieleniła się już kobieta, siedząca na prospekie „Tygodnika Mód“ oraz otaczający ją aniołowie, co podają jej lustro i mydło, jak bardzo czekoladową jest tam inna niewiasta, przedstawiająca ideję kapelusza w kłopotcie, t. j. takiego, któremu pióra wyrosły z tyłu i zadarły się w sposób niepokojący, jak bardzo czekoladowym jest prospekt „Przeglądu Tygodniowego“ lub „Przyjaciela Dzieci“, gdybyście zobaczyli jeszcze „Biesiadę Literacką, która również sobie coś umalowała, tobyście się pewno zgodzili z wywodem Joanny Guz (naszej kucharki); ta bowiem po przejrzeniu wszystkich owych bohomasów zielonych i brunatnych, rzekła, wdychając smutnie: „same nałpy“.

Istotnie, cóż za brak pomysłowości i jakaś skłonność do wzajemnego małpowania się. Ale jest tu jeszcze inna sprawa, budząca uwagę. „Wędrowiec“, który do naszego drzeworytnictwa wprowadził te „maście drogic“, nie myśli, jak się zdaje, dać za wygraną. Bojowy jego sztandar z jednobarwnego stał się powoli dwu, trzy, a nawet czterokolorowym; ci przeto, którym zależy na tem, aby psy rumieniły się rozkosznie, a bohaterki romansów błękitniały z miłości, nie doznają zawodu po przeminięciu konkurencyjnej gorączki przedworoce; to samo da się zapewne powiedzieć o „Tygodniku Ilustrowanym“. Natomiast, pozwolilibyśmy sobie wyrazić wątpliwość co do tego, czy inne tygodniki, dawszy odbiorcom swym w prospektach przedsmak czekolady albo szparagów, zechcą po nowym roku posłańctwo to swoje z równą powagą traktować? Jeżeli „drogie maście“ farbiarskie mają być li tylko chwilową przynętą, to czy nie ucierpi na tem dobre imię wydawców — rozumie się — o ile który z nich imię takie posiada.

Przypuścimy, iż różnobarwne współzawodnictwo pism obrazkowych wpłynie u nas na rozbudzenie estetycznego poczucia wśród tłumów; jedni więc, kupiwszy sobie czerwono-niebieskich ołówków zacząną uszlachetniać ryciny czarne, inni przyprawiać będą wasy Galateom i Westalkom, a jeszcze inni zapragną zwiedzać „salony“ sztuk pięknych. W jednym z nich odbywa się teraz wystawa szkiców. Profan zwróci się naprzód do krytyki, aby się od niej czegoś nauczyć; ale od czegoż jest nasza krytyka estetyczna jak nie od wprawiania prostactków w stan estetycznej katalipsy. Dowiaduję się, że p. X. „okazuje szczerłość, co dobrze świadczy o poważnych zamiarach artysty“, „pan Y. zdradza powagę, co świadczy dodatnio o szczerych jego intencjach“, że u pani Z. „cała rzecz traktowana jest z temperamentem iście artystycznym“, ale ostatecznie, co można powiedzieć na pochwałę albo naganę tego lub owego artysty — nie dowiem się. Nie dziwna, że wobec tego daleko łatwiej do sere ogółu trafiają naiwne malowanki czasopism. Patrząc na zielonego „bandytę“ np. domorosły znawca powiada: „Umalowali mu, panie, pyski na zielono, bo widać na to zasługiwał i kwita“.

Czy jeszcze o sztuce? Owszem, owszem — słyszę zewsząd głosy tych, którzy przypuszczają, że w końcu coś im powiem.

W salonie, ale już nie w tym, gdzie płótna „przemawiają wszystkimi tonami barw“, lecz tam gdzie fortepiany „wydają ze siebie wszelkie odcienia i barwy tonów“, w siedzibie Towarzystwa Muzycznego dzieje się od dwóch tygodni coś takiego, czego, jak zwykle, nie rozumiem. Jeden z panów wystąpił z propozycją; aby za imiennymi biletami członków towarzystwa bywali na koncertach tylko właściwi posiadacze biletów. Impertynencyja ta wygląda tak zuchwale, jak np. żądanie kolej, aby każdy urzędnik za wydanym mu biletom wolnej jazdy „dla rodziców“ miał prawo przewiezienia jednej tylko matki, jednego ojca i to rodzonych. Nic też dziwnego, że inny pan — z publiczności — dał tańtemu panu odprawę należytą, podżegając nawet znajomych swych do rokосу, t. j. do wypisania się z Towarzystwa. Wtedy w obronie instytucji wystąpił Komitet, oznajmiając, że oddawanie biletów osobom obcym niedogodnym jest chociażby z tego względu, iż wytwarza w „krzesłach“ niepożądane sąsiedztwo, wprowadzając intruzów. Względ ten, istotnie, tymbardziej zasługuje na uwagę, że każdy z członków Towarzystwa, zanim zostanie przyjęty, musi podlegać *balotowaniu*; bilet więc jemu tylko służyć powinien.

Mimo to jednak redakcja *Kurjera Warszawskiego* w imieniu własnem i wielu swych czytelników orzekła później, że o doborze towarzystwa w *Towarzystwie* nie może być mowy, gdyż każdy ma prawo należeć doń *za pieniądze*. Czyżby Komitet nie znał swojej ustawy? Dla nieuprzedzonych jedno tylko nie ulega tu wątpliwości, to mianowicie, że w łonie Towarzystwa toczy się od dość dawna jakaś zażarta walka, prawdopodobnie wypływająca ze stosunków i niechęci osobistych, a nie mająca bądź siły, bądź odwagi ujawnienia się przed sądem powszechnym. Widać że zarówno z mrukliwej, półgębkiem prowadzonej polemiki obecnej, jak i z tak niedawnych jeszcze alarmów przed wyborami, kiedy śpiących spokojnie Warszawian, budzono okrzykiem, że ktoś, gdzieś, za coś, na kogoś czyha, a wszystko to ma się skrupić na Towarzystwie Muzycznym, niech więc, kto żyw, łapie pantofle i leci na ratunek uciśnionej niewinności. W tej więc sferze naszego artyzmu uprzejmy recenzent nie mógłby wykryć nawet „szczerości“, która dobrze świadczy o poważnych zamiarach.

Czy jeszcze o sztuce? Dobrze, ale niech to będzie coś ładnego. Właśnie chcę mówić o „perełce“ Sienkiewicza, którą jedno z pism codziennych „poważyło się przytoczyć w całości“ z *Tygodnika Ilustrowanego*. Opowiadanie wyjęte jest z ust chłopca-górala. Śmierć, ulitowawszy się małym dzieciom, których miała pozbawić matki, idzie do Pana Jezusa z prośbą, aby ją od tej powinności uwolnił. „A Pan Jezus prask śmierć w pysk“ i posłał ją do morza po kamień. W kamieniu był robacsek, o którym Pan Jezus pamiętał, tymbar dziej więc o sierotach pamiętać będzie; jest to właśnie przyczyną drugiego momentu dramatycznego, w którym znowu „Pan Jezus prask śmierć w pysk“.

Po zreperowaniu sobie języka, który, wymawiając trzy ostatnie wyrazy, połamać się musi, zastanówcie się, ludzie, nad perełką. Główny jej powab tkwi, jak się zdaje w „prasku“. Filozofija przy wykonywaniu rozkazów i zleceń, jest niewątpliwie rzeczą, zasługującą na „prask“; litość zaś Śmierci w tym wypadku była czezem filozofowaniem. Pominałszy pytanie, czy nie właściwszem dla Perełki miejscem byłaby np. „Wisła“, czy do „stworzenia“ tego arcydzieła, autor o wiele więcej musiał dodać inwencji własnej, niż np. filolog pierwszego kursu, zapisujący klechdy ludowe, zagadnijmy tylko dwie pobożne redakcyjne, coby się ze wszystkimi tymi „praskami“ i „pyskami“ było stało, gdyby przepisywaczem ich nie był Sienkiewicz? Najnie wątpliwiej posłyszelibyśmy kazanie o „rozczochnym realizmie“, który „jeszcze chwala Bogu u nas artyzmem nie jest.“ Teraz wszakże, jedno pismo opowiada „pyski“ w zbyt kowne ramy ilustracyjne, drugie robi z nich „perełkę“ i „poważa się“ umieścić ją razem z pocziwym pieprzem, liściem bobkowym i makagigami, które w swym straganiku sprzedaje.

W dziedzinie sztuki, stosowanej do przemysłu, zdarzył się również „prask“, zasługujący na uwzględnienie. Dawniej torpile były narzędziem, bardzo pomocnym w sztuce podrzucania do góry okrętów, na których starsi panowie, nie lubiący wdawać się w filozofję i litość, bawili się w wojnę. Później wynaleziono siatki ochronne, aby torpile

nie mogły zbyt prędko przerywać zabawy. Obecnie jednak, wymyślił ktoś znowu nożyce, które będą rozcinały ochronną siatkę. Jest to prawdziwy „prask“ dla wynalazców siatek. Miejmy nadzieję, że wkrótce odkrytą zostanie jakaś materyja gąbczasta, która udaremni działanie nożyc, a potem jakiś palący płyn, który niszczy będzie gąbczastą materyję. Ciekawa rzecz, czy wtedy w sztuce wyższej postąpimy już o tyle, abyśmy wszystkich tych wynalazków nie potrzebowali malować jedną farbą np. zieloną?

Maryjan Bohusz.

GŁOSY.

Nieurodzaj. — Mieszkania warszawskie. — „Zacne myśli“ p. Chorążego. — Żydzi i piekarze. — Sztuczki Kraju.

— (x.) W *Prawiteltwiennym Wiestniku* czytamy:

„Nieurodzaj ziół w r. b. w niektórych okolicach państwa nasuwa pytanie: czy zapasy żywności są dostateczne dla zaspokojenia potrzeb ludności do przyszłych zbiorów? Obecnie centralny komitet statystyczny, po zbadaniu tej kwestyi, wykazał rezultaty urodzaju r. b. i ogłosił je w wydawnictwie p. t.: *Główne rezultaty urodzajów 1891 r.*

Otrzymane przez komitet dane o urodzaju prowadzą do następujących wniosków:

W 60 guberniach europejskich państwa Ruskiego, rachując w tem również 10 gubernii Królestwa Polskiego:

Zebrano zboża wszelkiego prócz kartofli			
Mniej w porównaniu z r. 1890 o z r. 1888 o			
c z e t w e r t i			
	245,549,500	66,145,400	28,769,000

W tej liczbie:

ozimin	102,834,100	33,900,900	8,585,200
jarzyn	143,815,400	32,244,500	20,183,800

Po potrąceniu ziarna na nasienie, zapas ziół na żywność, prócz kartofli, wynosi 1,335,257,500 pudów, w tem 644,995,100 pud. ozimin i 690,262,200 pudów jarzyn.

Na każdą głowę ludności wiejskiej przypada: 8,34 puda ozimin i 8,94 pud. jarzyn, razem 17,22 pudów zboża, gdy tymczasem w r. 1890 było: 12,07 p. ozimin, 11,83 jarzyn, razem 23,7 p., a w 1889 r. 8,99 pud. ozimin, 11,05 p. jarzyn, razem 20,4 puda.

Włączając do rachunku całą ludność, bez różnicy stanu, wieku i płci, wypada w r. b. 14,77 p. zboża na osobę.

Szczególniej jest dotkliwy nieurodzaj tegoroczny z tego powodu, że urodzaj nie był równomierny na całej przestrzeni, oraz że szczególniej były nawiedzone przez nieurodzaj te gubernije, które zawsze miały wielkie znaczenie pod względem produkcji zboża.

Najwięcej ucierpiał od nieurodzaju gubernije nad dolną i średnią częścią Wołgi, oraz środkowe rolnicze, a po części poduralskie. Dla zapewnienia żywności tym gubernijom potrzeba oprócz ich własnych zapasów jeszcze około 100,000,000 pudów.

Z drugiej strony w guberniach przemysłowych, Północnych, Północno-Zachodnich i w Królestwie Polskiem urodzaj tegoroczny odpowiada średniemu urodzajowi tych okolic, a na przestrzeni żyznych gub. Małoruskich, Południowo-Zachodnich, Noworuskich i Nadbałtyckich, z małymi wyjątkami, urodzaj był więc nie niż zadawalający. We wszystkich tych guberniach zbiór zboża po potrąceniu nasienia, daje średnio na głowę 27 1/2 p., a zatem po zaspokojeniu potrzeb miejscowej ludności pozostaje znaczny nadmiar, który, po wydaniu zakazu wywozu, zaspokoi potrzeby okolic, nawiedzonych przez nieurodzaj.

Prócz tego do zaspokojenia tych potrzeb przyczyni się nader obfity urodzaj na Kaukazie północnym“.

* * *

— (p.) Zebrane na wiosnę r. b. i ogłoszone teraz dane statyczne o mieszkaniach w Warszawie zawierają obfity materiał do charakterystyki bytu uboższych warstw ludności. Wkrótce pomówimy obszerniej o mieszkaniach warszawskich, obecnie zaś zatrzymamy się nad jedną ich kategorię — t. z. w. suterrenami. Piwnice te, przerebione na mieszkania ludzkie, zazwyczaj niskie, zimne, ciemne i wilgotne mieszczą około 28,175 osób. Z ogólnej liczby 91,712 mieszkań warszawskich 5,623 wypada na suterreny. W takich niehygienicznych mieszkaniach przebywa 10,023 dzie-

ci; ile z nich umiera — niewiadomo, ale jak wskazuje „Kuryer Warszawski“ w Lille z 21.000 dzieci, mieszkających w suterrenach, 20,700 umiera przed dojściem do piątego roku życia. W Warszawie śmiertelność nie jest zapewne tak znaczną, w każdym razie jednak musi o wiele przewyższać cyfrę średnią. Największa bezwzględnie liczba suterren znajduje się w cyrkulach powązkowskim i jerozolimskim, ale *stosunkowo* najwięcej ich wypada w cyrkulach łazienkowskim i nowoswieckim, zamieszkałych przez zamożniejszą ludność. Tu służba bogatych panów zajmuje często te nory.

Dodać trzeba, że w suterrenach i na poddaszach mieszka prawie 1/6 ludności Warszawy, mianowicie 16%. Tłomaczy to nam dostatecznie dla czego śmiertelność w Warszawie większą jest, aniżeli w innych wielkich miastach.

* * *

— (x.) Rozpatrując projekty przyjęcia z pomocą ubogiej ludności wiejskiej wobec już istniejącej i oczekiwanej drożyzny znany p. Chorąży z *Wielku* tak mówi:

„Zresztą przyznać trzeba, że w wielu miejscach nie zachodzi bynajmniej potrzeba wytwarzania specjalnych zajęć dla ludności wiejskiej, skoro owa ludność tych nawet, które ma ciągle pod ręką, nie ima się chętnie. Wiadomo np., że w czasie tegorocznych zbiorów z wielu stron słyszeć się dawały narzekania na bruk robotnika i niemało płodów zmarniało wskutek tego, że we właściwym czasie dla braku rąk zebrać ich niebyło można.

Gdyby nasi ideologowie częściej zaglądali na wieś i dokładniej przyglądali się stosunkom robotniczym w różnych okolicach kraju, może by mniej się rozczulali nad niedolą chłopca, a więcej podziwiali jego nieopatrność i lenistwo, które w większości wypadków wiodą go do nędzy. Przekonaliby się, że dola chłopca zwłaszcza na roli własnej osiadłego, nie jest tak ciężką, jak im się wydaje, jeżeli tylko tych wad się pozbywa“.

Przytoczywszy kilka przykładów zubożenia się chłopów, p. Chorąży tak dalej ciągnie:

Bieda szerzy się wprawdzie pośród komorników i małorolnych, ale do tych to właśnie stosuje się może najwięcej to, co powiedzieliśmy o lenistwie i nieopatrności; faktem jest bowiem aż nadto znanym, że nie jeden z tych ludzi woli przymierać z głodu, niż pracować, woli przepić w karczmie grosz zapracowany, niż zaoszczędzić na ciężką godzinę.

Rzecz naturalna, że na podstawie tych założeń p. Chorąży dochodzi do wniosku, iż:

Wobec takiego położenia rzeczy mniemam, że pojedynczy właściciele ziemscy nie mają co zaprzętać sobie zbytecznie głowy obmyśleniem środków systematycznej pomocy dla ogółu ludności wiejskiej“...

Obowiązek chrześcijański, zdaniem jego, nakazuje myśleć tylko o cheladzi, której, o ile sądzić można z relacyi p. Chorążego, niektórzy pracodawcy zamierzają uszczuplić ordynaryję pod pretekstem, że ceny zboża podniosły się znacznie.

* * *

— (prs.) Tajemnice ekonomiczne Warszawy odkrywają się coraz bardziej ku smutkowi tych, którzy dzięki zasłonie dotychczasowej łowili w naszym mieście rybki, bardzo smaczne i niemal odrazu smażone. Odczyt pana Osmały odsonił nam był szewców, wyzyskiwanych przez żydów; odczyt pana Kropiwnickiego, piekarza, dowiódł, iż znowu inna kategoria żydów wyzyskuje piekarnie, a przez to pośrednio i całą ludność warszawską, boć chleb je każdy, ubogi czy bogaty, dziecko i mężczyzna dojrzali.

W tem samem Towarzystwie popierania przemysłu i handlu p. Kropiwnicki, człowiek fachowy, a więc w danej sprawie zasługujący na wiarę, przedstawił smutne warunki piekarstwa warszawskiego, a zwłaszcza fabryk chleba parowego, który spożywają głównie klasy uboższe. Takich fabryk istnieje cztery. Wre między nimi walka konkurencyjna, w której bronią jest kredyt i rabat. Ztąd częste straty, odbijające się, oczywiście, na kieszeni spożywców. Aleć to jeszcze byłoby kłeski najmniejszej. Najgorszą bowiem są t. zw. konduktorzy, czyli pośrednicy, rekrutujący się wyłącznie z żydów. Zyskują oni na swoją rękę dla fabryki klientów, lecz czynią ich od siebie zależnymi, a gromadząc ich znaczne ilości, stają się tak silnymi, że dyktują prawa samym fabrykom. Oni dysponują kredytem fabryki, oni oznaczają wysokość kredytu, oni kierują rozwojem towaru. „Obrażenie“ takiego konduktora pociąga za sobą przeniesienie się jego wraz z całą grupą klientów do in-

nej fabryki, powodując znaczną stratę chwilową i stałą.

Ci konduktorzy kosztują rocznie fabrykantów 36,000 rs., co, naturalnie, podbija w górę cenę towaru, pomijając już inne niedogodności. Gdyby zaś udało się oddalić owych konduktorów, cena chleba parowego obniżyłaby się o pół kopiejki na funcie, co przyniosłoby spożywcóm warszawskim 150,000 rs. rocznych oszczędności.

I do tego celu dążą owi czterej fabrykanci, z panem Kropiwnickim na czele, chcąc utworzyć rodzaj łącznego syndykatu pod nadzorem zarządu miejskiego.

Zajmującym i w tym razie było zachowanie się prasy; dzienniki bowiem, należące częściowo lub całkowicie do żydów, troskliwie zamilczały pochodzenie owych konduktorów. Wręcz zaś w ich obronie stanęli po odczycie w samem Towarzystwie pp. Peretz i Kirsztrot-Prawnicki. Jeżeli jednak z jednej strony mamy fachowego znawcę stosunków, z drugiej zaś pana Peretza, który z pewnością lepiej rozumie się na kursie rubla, aniżeli na pieczeniu chleba i warunkach jego rozprzedaży—to ani na chwilę nie zawahamy się, komu tutaj przyznać słusność.

* * *

— (prs.) Gdyby ktokolwiek jeszcze dzisiaj nie wiedział, iż *Kraj* petersburski należy do grupy wielkich kapitalistów różnorakiego rasowego pochodzenia, ten po przeczytaniu dwóch artykułów, jakimi to pismo przywitało odczyt pana Osmały, z pewnością sam by się tego domyślił. Przedewszystkiem *Kraj* z pośpiechem gorącym przedrukował z odnośnej kroniki Bolesława Prusa wszystkie ustępy, potępiając szewców tak, iż z tej mozaiki, poskładanej sztucznie, utworzył się elaborat, przypominający ideją przewodnią słynny memoriał komitetu giełdowego, broniącego ongi zapalczywie przez p. Piltza. Powtórze p. Tad. Zal. w korespondencyi z Warszawy rzucił się na p. Osmały i na tych, którzy zechcą z jego cyfr, oraz dowodów wyciągnąć jakiegokolwiek uogólnienia. Co najciekawsze przecież, to otwarte wyznanie korespondenta, że owe cyfry i owe dowody są bezwarunkowo prawdziwe. Czyż nie znaczy to mniej więcej tyle: „Prawda, zupełna prawda, że X. okrada was, ale wara wam nazywać X-a złodziejem“! Przepyszna i rozczulająca logika.

Z KRAJU.

Dziwna pretensya. — Co są warte ogólniki i wykrzykniki, niewiadomo do kogo adresowane. — Kilka słów o szewcach.

Przed paru dniami otrzymałem list ze wsi, w którym korespondent, pochwalając mnie za przyzwyczajenie z początku, szameruje następnie za niewłaściwą ocenę zdania Prusa, że funt mięsa, spożyty codziennie, więcej umoralni i oświeci chłopca, aniżeli literatura ludowa. Otóż muszę tu przedewszystkiem zaznaczyć, że w cudotwórczy wpływ książki, przy liechem odżywianiu organizmu, również nie wierzę i że właściwie polemizowałem tylko z wyrażeniem Prusa: „dajcie chłopcu codziennie funt mięsa.“ Korespondent twierdzi, że jest to rzecz drobna, że nie chodzi tu o mięso, ale o dobre odżywianie się chłopca. Zapewne, ale ja to właśnie zaznaczałem, Prus zaś z naciskiem mówił o „funicie mięsa“. O to można się było tylko sprzeczać, bo nikt chyba nie twierdzi, że liecho odżywianie się może być z jakiegokolwiek względu pożytecznym. Nie wiem nawet, czy znajdzie się ktokolwiek, coby wątpił, że dobrobyt materyjalny jest niezbędnym warunkiem podniesienia poziomu kultury, a więc i moralności i oświaty. Szanownemu korespondentowi zdaje się, że odkrywa Amerykę, przytaczając ustęp z napisanych przed rokiem notatek o tem, jak wskutek większego dobrobytu w pewnej okolicy chłopci stali się silniejszymi fizycznie, bardziej rozwiniętymi umysłowo, moralniejszymi, aniżeli ci, którzy w nędzy żyć muszą. Pan X... (korespondent nie życzy sobie, ażeby wymienić jego nazwisko), tak jest przekonany o oryginalności swego odkrycia, że zaznacza, iż myśli podobne „zjawiły się u niego rok temu, a więc o wiele wcześniej, niż u Prusa“. Przykro mi, że muszę rozwiać miłe złudzenie, bo nie tylko Prus oddawno to powtarzał, ale i wielu innych twierdziło to samo, zdanie zaś, że dobrobyt materyjalny jest podstawą wszelkiego postępu umysłowego i moralnego, wyra-

zone w takiej ogólnikowej formie—toż przecie komunał tak oklepamy, że bodaj we wzorach kaligraficznych znaleźć go można. Niestety, i spozstrzeżenia takie, jakie łaskawie korespondent nam komunikuje, nieraz, ale co najmniej sto razy już robiono, zapisywano i, ma się rozumieć, drukowano. Nie pisałem istotnie o tem, bo po cóż powtarzać to, co każdemu jest wiadomem, czemu nikt rozsądny nie przeczy. Natomiast warto pisać, ale szczegółowo, jak lud się żywi i, sądzę, pod tym względem *Głos* co mógł, robił, pomieściliśmy bowiem nie jeden artykuł w tej sprawie. Ale nie mieliśmy i nie mamy ochoty wybijać drzwi otwartych i powtarzać frazesu, że moralność i oświata ludu zależą przedewszystkiem od jego dobrobytu, tymbardziej, że setki faktów, jakie pismo nasze notuje, dowodnie to wykazują nieraz, aniżeli gołosłowne zapewnienia. Mojem zdaniem jednak, nawet powtarzając pewnik, trzeba się dobrze czasem namyśleć, bo łatwo bardzo wpaść w jednostronność. Nie rozumiem np. jakim sposobem funt mięsa, codziennie spożywany, respective pożywny i zdrowy pokarm „wytworzy u chłopca etykę”. jak powiada korespondent, wytworzy sam przez się, bez żadnych wpływów kulturalnych. Wiadomo np. że niektóre narody Afryki lub mieszkańcy pewnych wysp Oceanii mieli lub mają czego tylko dusza zapagnie, a jednak dobrobyt i obfity pokarm „nie wytworzyły u nich etyki” wyższej i chociaż codziennie mieli funt mięsa na osobę, gdyby postarali się o to, woleli jednak zjadać swoich bliźnich.

Pozwolę sobie teraz zapytać, do kogo to zwrócony jest ów wykrzyknik: „dajcie chłopu codziennie funt mięsa”, albo raczej odpowiednią ilość dobrego pożywienia. Kto ma dać?—jużciż chyba nie ja, ani Prus, ani szanowny korespondent, ani drugi, dzięsiąty i setny. Rzucanie w przestrzeń takich wykrzykników, nie zaadresowanych do nikogo, albo tak ogólnikowo zaadresowanych, że nikt nie poczuwa się do obowiązków dania odpowiedzi, jest szlachetną może, ale bezcelową zabawką. Ani właściciel ziemski, ani majster, ani przedsiębiorca chociażby byli najmocniej przekonani, że dobre odżywianie się robotników podniesie ich poziom umysłowy i moralny i chociażby—przypuśćmy—najgorzej pragnęli tego, nie będą ich lepiej żywić, t. j. nie podniosą im wynagrodzenia. Bo wysokość płacy zarobnej zależy od ceny pracy na rynku, od stosunku podaży rąk do popytu i t. p. a nie od względów moralnych.

Chłop lichy się żywi, dla czego? Odpowiedź może być dwójaka: albo nie może żywić się lepiej, albo nie chce, czy nie umie. Są tacy, którzy sądzą, że gdyby tylko chciał, mógłby chłop jeść lepiej. Ja, co prawda, nie bardzo temu wierzę, a zapewne i szanowny korespondent także. Jeżeli zaś chłop nie może lepiej się odżywiać, bo mu warunki jego bytu na to pozwalają, to mówmy o zmianie tych warunków, o reformach społecznych i ekonomicznych, ale nie krzyczymy: „dajcie mu funt mięsa”, dajcie mu dobre pożywienie, a ono oświeci go i umoralni przedziej, niż książka. Nie wiem, źle czy dobrze, praktycznie czy nie praktycznie, ale w każdym razie dużo, (niektórzy twierdzą, że nawet za dużo) mówiliśmy i wciąż mówimy o sposobach podniesienia dobrobytu ludu, o reformie warunków ekonomicznych. Dodam jednak, że wszelkie reformy ekonomiczne w znacznej mierze zależne są od poziomu kultury społeczeństwa, zwłaszcza zaś od poziomu oświaty, od świadomości warstwy zainteresowanej. Niewątpliwie bez podniesienia dobrobytu nie można myśleć o postępie kultury, o wroście oświaty, ale również bez wzrostu oświaty, bez postępu kultury nie podobna prawie podnieść dobrobytu mas. Chyba że przypuścimy działanie czynników od społeczeństwa niezależnych lub przypadkowych. Z pozorów jest to jakiś „circulus vitiosus”, z którego wyjścia nie ma, w rzeczywistości jednak dzieje się nieco inaczej. Podnoszenie poziomu kultury idzie równoległe z podnoszeniem się dobrobytu, jeżeli nie zawsze, to w znacznej większości wypadków, postęp w jednej sferze ułatwia postęp w innej. Nie można powiedzieć, co jest ważniejszym lub pilniejszym, nie można też nakazywać przerwania pracy w jednej dziedzinie, ażeby w drugiej raźniej poszła robota. Zapewne, warunki bytu społeczeństwa niekiedy wskazują, że dana forma pracy społecznej najbardziej jest w danej chwili pożądana. Ale jeżeli mówimy u nas o pracy nad podniesieniem dobrobytu ludu, o reformie stosunków ekonomicznych, to praca w tym kierunku będzie w znacznej mierze, jeżeli nie wyłącznie, pracą kulturalną, krzewieniem oświaty w najszerszym znaczeniu tego wyrazu.

Od lat pięciu istnieje *Głos* i śmiało powiedzieć można, że prawie połowa artykułów w nim zamieszczonych wprost lub pośrednio dotyczy sprawy podniesienia dobrobytu ludu wiejskiego lub miejskiego. Rozumiem tu, rzecz jasna, podniesienie dobrobytu w znaczeniu ogólniejszem, w każdym razie nawet czysto praktyczne roztrząsanie tej sprawy było głównym zadaniem pisma. Powtarzam, nie wiem, źle czy dobrze, głupio czy rozumnie, ja znowu w sprawie tej od lat ośmiu, bodaj więcej niż ktokolwiek inny u nas, zapisałem papieru: Chyba więc mam prawo wymagać od czytelnika *Głosu*, żeby nie posądzał mnie o lekceważenie tego, na co główny nacisk kładłem, żeby nie dowodził mi tego, czego sam dowodziłem, żeby nie tłumaczył mi „nowych prawd”, będących tymi samymi ogólnikami, których słuchać a tymbardziej powtarzać dawno mi się znudziło, żeby nie uczył mnie abecadła, kiedy przynajmniej sylabizować już umiem...

—W ostatniej „kronice” Prus pogardliwie macha ręką na oświatę, odpowiadając na zarzut *Głosu*, że trudno wymagać od szweców, w większości nie umiejących pisać i czytać a pracujących 16—18 godzin dziennie, ażeby zakładali spółki handlowe do wywozu obuwia: „Dajcie wy już raz spokój, z tą wiarą”, powiada, „że sztuka czytania jest powszechnym lekarstwem na choroby społeczne. Owi nie umiejący czytać nasi szwecy gromadami wyjeżdżają do Cesarstwa, co dowodzi, że znane im są „odległe rynki targowe”; że zaś energija i przedsiębiorczość nie wypływa z umiejętności czytania, dowodem choćby ruscy chłopci, którzy tworzą spółki i niedopuszczają żydów do handlu”.

Nikt nie mówi, że sztuka czytania jest lekarstwem na choroby społeczne, ale jest bardzo skutecznym środkiem nauczania, jak zapobiegać dolegliwościom ekonomicznym. Energija i przedsiębiorczość są ważnymi przymiotami w handlu, ale ważniejszą jeszcze jest umiejętność i rutyna. I żydzi i chłopci ruscy tę rutynę posiadają, nasi zaś szwecy nie, trzeba więc ich uczyć. Gromadami wyjeżdżają oni nie tylko do Cesarstwa, ale i do Brazylii, ale tu i tam z powodu swej ciemnoty rady sobie dać nie mogą, bo o warunkach miejscowych nie mają pojęcia. Zresztą jeżeli nie za pomocą druku to ciekawym, w jaki sposób można zachęcać szweców do zakładania spółek i wskazywać im, co robić mają. Chyba za pomocą prelekcji w szynkach na Starem mieście, ale tam zaraz na wstępie zwrócą prelegentowi uwagę, że zakłóca istniejący w szynku porządek i wyproszą lub wyprowadzą go za drzwi.

J. Nieborski.

Korespondencyja „Głosu”.

Lwów.

(Ilustracyja stosunków szkolno-autonomicznych.)

Ciężko mi dzisiaj zabrać się do pióra, bo smutne są wieści, których udzielić wam muszę. O wielu błędach administracyi naszej krajowej nie piszę, wierzyłem bowiem, że wszystko ma swój koniec, że zło powoli, ale stopniowo usuwać się będzie. Fakt, o którym teraz pisać zamierzam, przepełnił czarę, — zamilczeć o nim byłoby grzechem wobec całego społeczeństwa. Wiadomo wam, że od półtora roku przy uniwersytecie jagiellońskim utworzono wydział rolniczy; wiadomo też zapewne i to, że celem zachęcenia młodzieży do wstępowania na ten wydział, a celem skutecznego prowadzenia go z drugiej strony, powołano z wyższej szkoły krajowej w Dublinach znakomitą i dobrze szkole zasłużoną siłę w osobie prof. dr. E. Godlewskiego. Szkoła dublańska utraciła wskutek tego jednego z najlepszych profesorów, zamierzała jednak powetować tę stratę, powołując na katedrę botaniki i chemii rolnej, opróżnioną po prof. Godlewskim, młodego uczonego, który szczególnie ostatnią swą pracą fizjologiczną zyskał sobie głośne imię w świecie botaników i rolników. Osobistością tą jest dr. Adam Prażmowski, dotychczasowy profesor rolnictwa w Czernichowie. Gdzieindziej sprawa podobna byłaby załatwioną szybko i z korzyścią dla szkoły; u nas dzięki iście chińskim procederom i systemowi protekcyjnemu, wkradającemu się nawet w stosunki szkolne, załatwiano ją niemal rok cały i zakończono ze szkoda dla szkoły. Aby zrozumieć gmatwaną, przez którą cała ta sprawa przechodziła, trzeba wiedzieć, że szkoła dublańska oprócz t. zw. kolegium profesorskiego, któremu z czysto praktycznych względów powinno przysługiwać nie tylko prawo propozycyi co do obsadzenia katedr, lecz także pra-

wo rozstrzygnięcia o zdolnościach i kwalifikacyjach kandydatów, — posiada dwie a nawet trzy instytucye, stojące ponad kolegium, a mające prawo za twierdzenia profesorów. Instytucyjami temi są: t. z. *Kuratorya*, złożona z trzech członków, *wydział krajowy* złożony z siedmiu członków, wreszcie c. k. ministerjum rolnictwa (sic!) Wydział krajowy, jako zwierzchnia władza miejscowa, posiadająca referenta szkół rolniczych, łącząca na szkołę, jest naturalnie w prawie mianowania lub odrzucania przedstawionych sobie kandydatów. Ministerjum rolnictwa, jako dopłacające na utrzymanie szkoły, aż 5 tysięcy złr. rocznie, uzurpowało sobie prawo potwierdzania lub odrzucania decyzji wydziału — mniejsza o to! Dotychczas nie brzdziło ono w sprawach szkolnych i może nadal brzdzić nie będzie. Szkoda tylko, że za swe tak dominujące prawo tak mało na szkołę łoży! Najzabawniejszą rzeczą i prawdziwym Piłatem w Credo jest tu t. zw. Kuratorya. Składa się ona z trzech członków, delegowanych przez wydział krajowy, c. k. Namiestnictwo i c. k. Towarzystwo gospodarskie. Do zakresu działań Kuratoryi należą sprawy stypendyalne, sprawy uwolnień od opłat szkolnych, sprawy nominacyi asystentów i docentów, przedstawianie wydziałowi krajowemu kandydatów na profesorów i t. p. Wobec tego, że wszystkie sprawy ostatecznie załatwia wydział krajowy, a w wyjątkowych razach ministerjum, logicznie rzecz biorąc, cała kuratorya wydaje się instytucyją zbyteczną i tylko na powolniejszy przebieg spraw wpływającą. W istocie rzecz się tak ma, a raczej gorzej. Pp. kuratorowie są figurami honorowemi, obowiązki kuratoryi spełniają leniwie, albo ich wcale nie spełniają, bo to tylko kłopot sprawia, a dochodu nie daje. Sprawy szkolne na tem cierpią, idą latami całemi w odwłokę, ale cóż to kogo obchodzi! Znamy tutaj i moglibyśmy wymienić po nazwisku kuratorów, którzy przez cały czas swego urzędowania nie byli w Dublinach i szkoły nawet na odległość nie widzieli. Zdarzają się jednak między nimi ludzie, którzy w pewnych wypadkach, dla względów czysto osobistej natury, budzą się z uspienia, powstają do czynu i robią bałamuctwa dla zaspokojenia własnego widzi mi się, a znowu, niestety, ze szkoda dla szkoły.

Do tego rodzaju kuratorów należy p. Tadeusz Langie, członek kuratoryi z ramienia c. k. Towarzystwa gospodarskiego. Jest to osobistość znana dobrze w zachodniej części Galicyi; tam bowiem pilnie i pokornie służąc rządzącej partyi, dorobił się mandatu poselskiego. W wschodniej części kraju poznaliśmy go od lat kilku, gdzie jako zrujnowany i zły administrator własnego majątku, otrzymał w nagrodę administracyję dóbr, należących do fundacyi hr. Skarbka. wraz z okrągłą pensyją 4,000 złr. rocznie. O administracyi tych dóbr i zatar-gach z szanownym kuratorem fundacyi hr. Henrykiem Skarbkiem mówić nie będziemy; pisma tutejsze (o ile na to prokuratorya państwa, szanująca osobistości w rodzaju p. T. Langiego, pozwoliła) niejednokrotnie o tem pisały. Jakie motywa skłoniły Towarzystwo gospodarskie, że na delegata do kuratoryi dublańskiej wybrała p. Langiego, niewiemy; nie przypuszczamy bowiem, aby studya jego, kończące się na niższym gimnazyjum i pobycie w szkole dublańskiej w latach sześćdziesiątych — a więc kiedy szkoła ta była zaledwie średnią — uprawniały do podobnego stanowiska. P. Langie, jako kurator, świeci baki młodzieży, do niego się zbliżającej, a sam pierwszy chce stanowić dla niej drakońskie prawa. On jest promotorem i najgorętszym zwolennikiem internatu w Dublinach dla młodzieży akademickiej, on podkopuje powagę dyrektora szkoły i kolegium profesorskiego, on głośno w sejmie podnosi, że kuratoryje w szkołach rolniczych — z wyjątkiem dublańskiej — nie mają sensu, on mianuje swoich protegowanych i krewnych docentami, choć są inni kandydaci z lepszymi kwalifikacyjami naukowemi. (Tak się stało z docenturą rybactwa w szkole dublańskiej.) Sprawa ostatniej nominacyi na katedrę, opróżnioną po prof. Godlewskim, jest zbyt jaskrawą i krzywą, aby nie oddać jej pod sąd opinii całego społeczeństwa i dla tego opisuję ją dokładnie, ażeby dać pełny obraz korupcyi nawet w stosunkach szkolnych, dzięki tego rodzaju osobistościom, jak p. Langie. Kolegium profesorskie uchwaliło jednogłośnie powołać na tę katedrę wspomnianego dr. Prażmowskiego i przedstawienie swoje w tym duchu przesłało kuratoryi, ale p. Langiemu nie podobał się p. Prażmowski. Sprawa przybrała ostry charakter, czas naglił. P. Langie chwycił się wyprobowanego i patentowanego u nas sposobu przewleknięcia sprawy, aż do znudzenia

Z paradoksów życia. Studya i obrazki przez *Cecylię Walewską*. T. Paprocki i S-ka. Warszawa 1891.

Z kilkunastu obrazków rzuconych w książce przez panią Walewską uderzają te, których bohaterką bywa kobieta. Stanowią one, co prawda, większość zbioru: „Moje wspomnienia“, „Anemiczna“, „Rachunek sumienia“, „Nie pierwsza i nie ostatnia“, „Karolka“, „Uspokojona“, „O kwartet“. Właściwą sferą autorki jest dusza kobieca w rozmaitych chwilach życia poddawana analizie. Za przeważający typ tych szkiców można uważać przeciętnie inteligentną histeryczkę, t. j. stałą mieszkankę nowych średnio zamożnych mieszkań—żonę, kochankę i siostrę zdenerwowanej rodziny. P. Walewska prócz dość obfitej i rzetelnej obserwacji, która nadaje jej obrazkom wartość artystycznie wykonanej historii chorób współczesnego organizmu duchowego kobiety, przynosi inną jeszcze charakterystyczną właściwość. Zawsze i wszędzie nie poprzestaje na samej analizie wewnętrznej t. j. świata zjawisk fizyo-psychologicznych, lecz wprowadza

jeszcze jakiś motyw dramatyczny. Można by na ogół powiedzieć, że autorka biorąc za punkt wyjścia jakiś dramatyczny stosunek życia, podaje nam jego maszyneryję psychiczną. To szukanie dramatu czasem nadaje utworom p. Walewskiej cokolwiek sentymentalny wyraz. Zresztą czytelnicy nasi mieli już sposobność poznania autorki; a my odkładamy obszerniejszą jej charakterystykę na przyszłość.

Bławatki. Kalendarz dla dzieci na rok 1891, pod redakcją *Henryka Wernica*. Nakładem księgarń J. Guranowskiego. Warszawa.

K. Marxa teoryja wartości. Studium ekonomiczne przez *Stanisława Piotrowskiego*. Warszawa 1891 r.

O książkach tych napiszemy wkrótce obszerniej.

Metoda kroju, zycia i praktycznego wykończenia sukien, okryć damskich i dzieciennych i Wzory kroju do tejże metody przez *Anię Gąlećką*. Wydanie IX. Warszawa.

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. A. S. w W. Dalsza polemika z p. Wiślickim byłaby zbyteczną. Chodziło nam o wykazanie publiczności metody krytycznej tego pana, nie zaś o przekonywanie jego. Obecnie kwestyja wyświetlona została dostatecznie i objętnie podziwiać możemy akrobatyczne sztuczki „sumiennego“ wydawcy z Czystej. Nie chodziło nam o obronę krytykowanych utworów, ale o wykazanie handlowarskich pobudek tej krytyki.

P. F. L. w Moskwie. Wzmiankowana przez pana *Gazeta* jest bodaj najlepszą z istniejących. Jest to pismo konserwatywne, ale dobrze redagowane i dające sporo ciekawych artykułów.

P. L. Ż. w Bobr. Ceny Karejewa i Fouillee'go oznaczone będą po wyjściu dzieł tych z druku. Pochodzenie człowieka kosztuje 3 rs. 50 kop.

OGŁOSZENIA GŁOSU.

Na gwiazdkę!

Księgarnia Tanich Wydawnictw

W. Obuchowskiego

w Warszawie

przy ul. Szpitalnej Nr. 5

zaopatrzoną została w wielki wybór

Książek gwiazdkowych

DLA DZIECI I MŁODZIEŻY,

w oprawach ozdobnych, kartonowych i innych,

w cenie od kopiejek 12.

Dozwolony przez Departament Medyczny.



„DENTOR“

wzmacnia dziąsła, zczerniałym zębom przywraca pierwotną białość, nadaje przyjemny zapach.

Flakon za **rs. 1** wystarcza do użycia na 360 dni.

Dostać można w znaczniejszych Składach mat. Aptecznych i Perfumeryj w Warszawie i na prowincyi.

POTRZEBNI REPREZENTANCI.

Adres: „Dentor“ — Warszawa.
Królewska 39.

AGRONOM

wykwalifikowany, posiadający chlubne świadectwa, mogący powołać się na rekomendacje osób wiarygodnych, z szesnastoletnią praktyką, żonaty, bezdzietny, poszukuje posady rządowej od każdego czasu z wymaganiami umiarkowanymi.

Osoby zainteresowane raczą zgłaszać się listownie do *Księgarni T. Paprockiego w Warszawie, Nowy Świat 41.*

Poszukuje zajęcia

Człowiek w średnim wieku, żonaty, który przez lata kilka pracował w fabryce pełnił obowiązki woźnego w Redakcyi, dozorey i t. p. Wiadomość w redakcyi *Głosu*.

Dr. Medycyny Adolf Kozerski, odbywszy praktykę szpitalną jako hospitant kliniki profesora Kaposi'ego w Wiedniu, udziela porady lekarskiej w chorobach skórnych i wenerycznych rano do 9 1/2, po południu 4—6. Od 1—2 przyjmuje wyłącznie kobiety.
Próżna Nr. 3.

Lekeyje zbiorowe

Nauk przyrodniczych

PROWADZI

Dr. Wanda Szczawińska,

Żórawia 15, m. 12, od godz. 4-ej—6-je

PRZEGLĄD PEDAGOGICZNY

Czasopismo dla rodziców i nauczycieli

Zamieszcza: artykuły o psychologii, higienie, wychowaniu fizycznym, umysłowym i moralnym, metodach nauczania, postępach pedagogiki zagranicą etc.

W Przeglądzie wychodzi:

METODYCZNY KURS NAUK

w którym podany jest plan, podręczniki i szczegółowe wskazówki do wykładu następujących przedmiotów: Religii, nauki o rzeczach, języka polskiego i francuzkiego, arytmetyki, nauk przyrodn., geografii, historii, rysunku i kaligrafii,

oraz

„OGRÓDEK DZIECIECY“

zawierający materyjały i wskazówki do gier, śpiewów, pogadanek i zajęć ręcznych dla dzieci i młodzieży.

Prenumerata „Przeglądu“: Kwartalnie rs. 1 kop. 50, z przesyłką rs. 1 kop. 75,

Adres: **Warszawa, Widok 14**

Przyjmuje się prenumeratę na gazetę codzienną

NOWOSTI

na rok 1892.

WARUNKI PRENUMERATY:

na I (wielkie) wydanie

	Na rok	11 m.	10 m.	9 m.	8 m.	7 m.	6 m.	5 m.	4 m.	3 m.	2 m.	1 m.
rs. kop.	r. k.	r. k.	r. k.	r. k.	r. k.	r. k.	r. k.	r. k.	r. k.	r. k.	r. k.	r. k.
Bez przesyłki	14 50	13 —	12 —	10 50	9 80	9 —	8 —	6 80	5 50	4 —	2 80	1 50
Z przesyłką pocztą miejską	16 —	15 —	13 50	12 —	11 —	10 —	9 —	7 50	5 80	4 50	3 30	1 80
Z przesyłką na prowincyję	17 —	15 50	14 50	13 50	12 —	11 50	10 —	8 50	7 —	5 50	4 —	2 —
Za granicę	26 20	24 50	23 —	21 —	18 50	16 —	14 —	12 —	10 —	8 —	6 —	3 —
Do krajów, nienależąc. do związku poczt.	47 —	44 —	41 —	38 —	35 —	32 —	28 —	24 —	20 —	16 —	11 50	6 —

Prenumerata roczna rozkłada się na 3 raty dla urzędników za pośrednictwem kasyjerów, dla innych — według umowy, przytem zamiejscowi płać przy zapisie 7 rs., w końcu marca 7 rs. i w początku sierpnia 3, miejscy przy zapisie 5 rs. 50 k., w końcu marca 5 rs. 50 k. i w końcu czerwca 5 rs.

Prenumeratę przyjmuje się tylko od 1 każdego miesiąca i nie dalej, jak do końca roku.

Pieniądze i listy adresować należy: Petersburg, kantor gazety „Nowosti“ (Newskij Nr. 10), telegramy: Petersburg, Nowosti.

na II (małe) wydanie.

	Na rok	11 m.	10 m.	9 m.	8 m.	7 m.	6 m.	5 m.	4 m.	3 m.	2 m.	1 m.
rs. k.	r. k.	r. k.	r. k.	r. k.	r. k.	r. k.	r. k.	r. k.	r. k.	r. k.	r. k.	r. k.
Z przesyłką w mieście	9 —	8 50	8 —	7 50	7 —	6 50	6 —	5 —	4 —	3 —	2 —	1 —
Z przesyłką na prowincyję	10 —	9 50	9 —	8 50	8 —	7 —	6 —	5 —	4 —	3 —	2 —	1 —
Za granicę	18 —	—	—	—	—	—	10 —	—	—	6 —	—	2 —
Do krajów, do związku nie należących	39 —	—	—	—	—	—	20 —	—	—	11 —	—	—

Prenumeratę roczną rozkłada się na 3 raty dla urzędników za pośrednictwem kasyjerów, dla innych według umowy. Prowincjonalni opłacają przy zapisie 4 rs., w końcu marca 3 rs. i w końcu lipca 3 rs., miejscy przy zapisie 3 rs., w końcu marca 3 rs. i w końcu czerwca 3 rs.

Prenumeratę przyjmuje się od 1 każdego miesiąca i nie dalej jak do końca roku bieżącego.